Nr. 8. Lwów, dnia 1. Sierpnia 1890. Rok XIII



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Ostatnie wspomnienia z ostatnich polskich łowów

skreślił

Leopold hr. Starzeński.

W Stryjskiem, nad brzegiem Świcy, ciągnące się rozległe pasmo lasów Lachowickich — własność niegdyś ś. p. Aleksandra hr. Dzieduszyckiego z Izydorówki — były, rzec można, ową szkołą, która wytworzyła ten zastęp dawnych myśliwych, a były także szkołą Kazimierza Wodzickiego.

Mój wuj, ś. p. Aleksander, był z dawna królem stryjskich myśliwych, a może swego czasu i królem myśliwych w całej Galicyi. Ongi, gdy dziki były jeszcze rzadkością w kraju naszym, w lasach Lachowickich, graniczących z niezmiernym obszarem borów kameralnych, on z doskonałą psiarnią i z wyćwiczonym wybornie zastępem tropicieli i dojeżdżaczy, wyprawiał na nie słynne na kraj cały łowy. To też Izydorówka stała się celem pielgrzymki dla myśliwych z najodleglejszych nawet okolic; każdy pragnął hołd złożyć temu królowi łowów i choć raz przypatrzeć się tym sławnym, nieznanym gdzie indziej polowaniom.

Pamiętam te czasy, gdy u nas każdy, który mógł powiedzieć: „Polowałem w Izydorówce“, czuł się dopiero prawdziwym myśliwcem; zdawało mu się, iż aureola otacza jego czoło, był niejako pasowanym na rycerza. Nie wiem, czy który z wyznawców Alkoranu tak się przygotowuje do pielgrzymki z Mekki do Medyny, jak ja przygotowywałem się na pierwsze polowanie w Izydorówce. I Wodzicki u Aleksandra Dzieduszyckiego, swego późniejszego teścia, zdobył, rzec można, dopiero pierwsze rycerskie ostrogi. — Zapoznawszy się tam z tem, nieznanem mu dotąd polowaniem, zaprowadził zaraz u siebie w Hołhoczach wyborną psiarnię i w graniczących lasach Manasterzyskich i Podhajeckich świetną rozpoczął kampanię na dziki, a zapał myśliwski niósł go odtąd w coraz dalsze strony, aż wreszcie i w góry, na niedźwiedzie.

Jaka to szkoda, że ś. p. Aleksander żadnych nigdy nie ogłosił pamiętników swoich wypraw, i że Wodzicki w swoich pismach tak mało o nich wspomina. Ileż tam ciekawych i pouczających epizodów. Co tam skarbów dla późniejszych pokoleń!

Jeden dzień, na przykład, stoi teraz przed moją pamięcią. Oto, jak było:

W dość licznem myśliwskiem gronie, polowaliśmy już z początkiem wiosny w lasach Balickich, należących wówczas do pani Broniewskiej. Odwilż była zupełna, wody zalewały wybrzeże Świcy, którą z rana jeszcze w bród konno przejechaliśmy dość łatwo. Psiarnię naszą składały sławne

weterany, kundysy izydorowieckie i prześliczne czarno-podżare, górskie ogary Ludwika Steckiego z Sokołowa.

Odyniec był otropiony w miocie „Dżurdżów“. W jednej chwili psiarnia go opadła i popędziła wprost na Wodzickiego. Niestety! Beneszówka nie dopisała! Kula jedna gdzieś drasnęła nieszkodliwie zwierza, lekką farbę dojrzeliśmy nareszcie na tropie, więc na koń!... i rozpoczęła się szalona pogoń, bo głos psów znacznie się oddalał i łatwo poznać można było, że dzik sadzi z kopyta, i ani razu się nie ostanowił. Parów nie parów, góra nie góra, my ciągle naprzód pędzimy. Ja łatwe miałem zadanie, bo na poprzedniem polowaniu koń mój myśliwski okulał, i nie był jeszcze zdolnym do użytku, więc mój wuj, który mnie bardzo lubił, dał mi na dziś ogiera „Merdżankira“, przywiezionego niegdyś z Arabii przez Juliusza Dzieduszyckiego do Jaryczowiec. Ten wiatronogi syn pustyni był dziś moim myśliwskim wierzchowcem, nie dziw więc, że wszelkie, choćby najcięższe przeszkody, brać mogłem z największą łatwością.

Ale dzika, lekko postrzelonego, a gonionego przez wyborną psiarnię. nawet syn pustyni w lesie nie dogoni. Cały zapał myśliwski, niebezpieczeństwa przebyte w przejeździe przez parowy, pot kroplisty, który okrywał rumaki, wszystko to, niestety, poszło na marne! Dzik ani razu się nie ostanowił i pomknął w Turzańskie rewiry, a psiarnia za nim.

Dalsza pogoń byłaby niedorzecznością. Trąbka wuja Aleksandra wszystkich nas w około niego zgromadziła, i stanęliśmy gotowi słuchać rozkazów wodza. Bo tam nie było, jakto gdzieindziej bywa w zwyczaju, że się rozpoczynają w lesie narady z gośćmi lub strażą lasową, marnując drogi czas łowom przeznaczony. Nie, tam był tylko rozkaz wodza — nic więcej. A rozkaz brzmiał: dojeżdżacze pójdą za psiarnią do Turzańskiego lasu, psy połapią i przyprowadzą na „Wysoki łaz“, gdzie jest drugi dzik otropiony przez starego Kupryka, my tymczasem na trzeciego otropionego dzika z pogonką weźmiemy miot „Osiczynę“.

— A gdzież pogonka? — zapytał nieśmiało jeden z młodych towarzyszy łowów, który tu po raz pierwszy polował.

Na to pytanie wuj Aleksander spojrzał tylko z uśmiechem na pytającego i nic nie odrzekł. A stary major Seweryn Korzeliński, znany z kampanii węgierskiej i z opisu podróży swojej i pobytu w Australii, postać nadzwyczaj miła i sympatyczna, pociągnąwszy kilka kłębów dymu z swej krótkiej fajeczki, z którą się prawie nigdy nie rozstawał, nachylił się z konia ku młodzieńcowi i rzekł mu z cicha:

— Nie kompromituj się młodzieńcze takimi pytaniami! Tu wszystko z góry obmyślane. Obaczysz!

— Na koń! — zagrzmiała dalsza komenda, i w pół godziny może byliśmy przed miotem „Osiczyna“.

Zeskoczyliśmy z koni i oddaliśmy je chłopcom stajennym, którzy, nie wiem z kąd, już tu się znaleźli i na nas czekali. Pod kierownictwem wodza ujrzeliśmy się na szerokiaj linii, na której nas rozstawił, sam zaś poszedł na skrzydło i zatrąbił. Zdziwić się musiał niemało ów młodzieniec, który wystąpił z niefortunnem zapytaniem: „A gdzież pogonka?“ gdy usłyszał w tej chwili w dali głos trąbki drugiej i trzeciej, a zaraz potem gonienie pogonki.

Sąsiadem moim po prawej stronie był ś. p. Kazimierz Dzieduszycki. Do czci najwyższej, która to nazwisko w kraju całym otaczała, niech mi wolno będzie dodać, że to był oraz jeden z najmilszych towarzyszy myśliwskich, jakich kiedykolwiek spotkałem, a przytem jeden z najcelniejszych strzelców, osobliwie kulami, z jakimi kiedykolwiek polowałem.

Miot trwał dość długo Bez strzału przepuściłem dwa lisy, które mi wyszły na kilkanaście kroków, a wyznaję, iż konieczność taka do najwyższego rozdrażnienia doprowadzić mnie może. Nareszcie coś zaczerniało w gąszczy i widzę bardzo pięknego odyńca idącego poprzedemnie, na kroków może 30, ale wprost na mego sąsiada po prawej ręce; strzał miałem pewny, ale dojrzałem, że mój sąsiad już stoi złożony. Oczywiście nie strzeliłem, jak mi to myśliwski obowiązek nakazywał, bo zawsze się trzymam tej zasady, że wolę każdego zwierza bez strzału przepuścić, niż towarzyszowi myśliwemu przykrość wyrządzić. Padły dwa strzały, bardzo trudne wprawdzie, bo w gęstej drągowinie, która moje stanowisko od stanowiska Kazimierza oddzielała. Odyniec zwrócił się ku mnie i na szeroką linię wypadł mi na kroków piętnaście. Wymierzyłem go w komorę, gdy usłyszałem błagalny głos Kazimierza Dzieduszyckiego:

— Jak mnie kochasz, nie strzelaj. On już ma dosyć!

Na takie zaklęcie byłbym się chętnie wyrzekł strzału nawet do lwa, do hyeny i do pantery — a cóż dopiero do dzika! Spuściłem sztuciec i dzik poszedł dalej. Badamy trop, farby niema!.. Idziemy za tropem kroków kilkadziesiąt, kilkaset może — ani śladu farby! Człowiek strzela pan Bóg kule nosi — i te kule, chociaż puszczone ze sztućca jednego z najlepszych strzelców — widocznie nie doszły do celu, tylko gdzieś ugrzęzły w drągowinie.

Strąbiono nas wkrótce i każdy znów siedział na grzbiecie swego rumaka.

— Na Wysoki łaz! — zagrzmiała komenda — psiarnia już musi być z powrotem. a gdyby jej nie było, to pogonka ten miot przegoni.

Galopem pędzimy znowu przez czachary, gąszcze, parowy i w niespełna pół godziny stajemy przed „Wysokim łazem“. Cała psiarnia Izydorowiecka już tam stoi w komplecie, bo jeden tylko kundys lekką odniósł ranę i pod strażą dojeżdżacza pozostał w lesie, ale z psiarni Steckiego jeszcze kilka brakuje ogarów. Zresztą wszystko w porządku.

Bierzmy tedy miot „Wysoki łaz“. Komendant nasz rzekł, że tu jest odyniec przez Kupryka otropiony. „Otropiony?!“ rzekłby może na to któryś z dzisiejszych myśliwych. „Jak to? kiedy odwilż i srokate pole?“ Tak jest, odyniec był otropionym pomimo odwilży i srokatego pola, przez takiego tropiciela jakim był stary Kupryk, uczeń ze szkoły Aleksandra Dzieduszyckiego. Takim samym mistrzem w tym zawodzie był później, żyjący prawdopodobnie dziś jeszcze, i syn tego Kupryka.

Niech mi wybaczą dzisiejsi posiadacze wielkich rewirów, którzy się chełpią ze sztuki tropienia swej straży leśnej, ale im powiem, że to ich dzisiejsze tropienie, na które często patrzę, jest tylko istną parodyą tropicielskiej sztuki. Na doskonałej ponowie, na przestrzeni kilkuset morgów, na której są ciągle pewne dzicze legowiska, otropić stadko dzików, nieoznaczając nawet dokładnie jego liczby — to rzecz bardzo łatwa. Ze szkoły Izydorowieckiej wyszli tropiciele tej niepojętej doskonałości, że nawet ponowa stawała im się zbyteczną, i na każdem polu dzika otropić umieli, czy to na rosie wśród lata, czy na szronie w jesieni — a już ponowa była dla nich tak białą kartą, że wątpię, by jakikolwiek z uczonych dziś myśliwców lepiej od nich na niej czytać potrafił. Z wyjątkiem kilku górali, którzy na ogromnych górskich przestrzeniach, o każdej porze, każdego zwierza wyśledzić zdołali, zdarzyło mi się zaledwie kilku spotkać takich mistrzów tropicieli. Oprócz Kupryka, wspomnę tylko gajowego Dmytra w Turzy i sła-

wnego Jana Parandzieja, dozorcę rewirowego Lisowickiego Towarzystwa.

Lecz wracam do rzeczy. Na „Wysokim łazie“ stanęliśmy znów na stanowiskach. Psy puszczono w miot, który czarodziejska ręka hetmana łowów, nie wiem jaką potęgą, już potrafiła pogonką obstawić. Psiarnia w barłogu opadła ogromnego odyńca. Ale był to staruszek doświadczony — z niejednego pieca, widać, chleb jadał, i nieraz w życiu rozmaite przebywać musiał perepałki — to też położenie zbadać potrafił od razu, i poznawszy, że psiarnia, to sprzymierzeńcy tych myśliwych. których zwietrzył na linii, uznał odwrót za najstrategiczniejszą część kampanii. Ale trąbka Aleksandra i odpowiadające jej okrzyki pogonki udaremniły jego kombinacyę, i ze wszech stron nadbiegająca psiarnia pokrzyżowała wszelkie jego strategiczne plany. Pod naciskiem nawały wypadł zrozpaczony przed stanowisko Wodzickiego, który był moim sąsiadem na prawo. Padły dwa strzały — dzik z psiarnią pobiegł dalej, ale po chwili znów się wszystko uciszyło, i rzadkie tylko dawały się słyszeć naszczekiwania. Pobiegłem w tym kierunku. Cóż za oryginalne widowisko przedstawiało się moim oczom! Znowu przez dwa strzały Beneszówki źle postrzelony odyniec, ale do dalszej walki sił pozbawiony. siedział przez zgraję psów zatrzymany, a na nim Kazimierz, trzymając go silnie za szczecinę na wierzchu głowy, i wbijając mu kordelas przez prawą łopatkę do serca. Na nieszczęście. ten kordelas był ze zbyt kruchej stali, i za pierwszem pchnięciem złamał się przy rękojeści, a ostrze nie głęboko utkwiło w twardej skórze zwierza. Myśliwy w największym zapale, nie puszczając swojej zdobyczy, na której siedział, i trzymał za grzywę, dalej uderzeniami pięści starał się popsute narzędzie wbić aż do serca dzika. Próżne to były wysilenia, a jednak Wodzicki, w tej chwili, przypomniał mi postać owego Herkulesa, który pokonuje legendowego erymantyjskiego odyńca. Tak strasznej sceny zamotania między pogromcą a ofiarą nigdy nie widziałem; przez chwilę, wistocie, nie można było przewidzieć, kto ostatecznie zostanie zwycięzcą w tej zaciętej śmiertelnej walce między nieustraszonym myśliwcem, a do wściekłości doprowadzonym zwierzem

Nadbiegłszy w chwili. gdy się ta cała walka rozgrywała, byłbym mógł bardzo łatwo strzałem tę oryginalną zakończyć scenę, lub ciężko rannego zwierza pchnięciem kordelasa uspokoić; jednak oczywiście nie uczyniłem tego, ale podbiegłem i podałem mój kordelas Kazimierzowi. „Bóg ci zapłać!“ powiedział mi serdecznie i pchnąwszy moim kordelasem, koniec tej scenie położył.

Zmrok zaczynał zapadać i wszyscy towarzysze już byli ku domowi podążyli, aby Świcę, o ile możności, jeszcze za dnia przebyć brodem, zwłaszcza, że w dniu tym był spodziewany w Izydorówce zjazd z sąsiedztwa, gdyż to był dzień urodzin jednej z moich kuzynek. Ja z Kazimierzem zostałem dłużej przy zwłokach zabitego przez niego odyńca, ktory niezwykłym był okazem i nad którym też jako naturalista niezwykłe czynić począł spostrzeżenia, tak, że gdyśmy po skończonych badaniach i najdokładniejszem *visum repertum* w dalszy wyruszyli pochód, księżyc stał już wysoko, skorośmy stanęli nad brzegiem Świcy. Odwilż dzisiejsza do wielkich rozmiarów była podniosła jej fale; gdzie niegdyś były brody, teraz już topiel — gdzie była topiel, tam bezdenne morze. Na drugim brzegu czekali na nas nasi towarzysze; oni pomiędzy kry płynąc, choć z trudnością, jeszcze za dnia rzekę przebyć zdołali i zaraz zaczęli na nas wołać:

— Spóźniliście się! Woda wzbiera gwałtownie! Nie jedźcie! Niebezpiecznie próbować, bo kra może was porwać.

Stałem przy Kazimierzu i odezwaliśmy się razem:

— Będziemy zaraz przy was!

Jakoż, pocisnąwszy rumaki, wpadliśmy w bałwaniące się nurty rzeki i pomimo tego, iż w pierwszej chwili woda już napełniła cholewy naszych butów, grunt czuliśmy jeszcze pod kopytami koni — a więc dalej naprzód! Kazimierz jechał przodem na kasztanowej klaczy „Rudka“, ja na „Merdżankirze“. Po chwili Rudka już dna nie czuła, ale jak szczupak śmiało popłynęła dalej. I Merdżankir płynąć zaczął — ale widocznie syn pustyni do marynarki nie czuł w sobie żadnego powołania i odrazu się zanurzył. Głowę jego ujrzałem po chwili znów nad falą, ale z nozdrzy jego buchnęły kłęby wody, jakby z nozdrzy delfina. Zeskoczyłem z niego, by mu ulżyć ciężaru i obok płynąć zacząłem, chociaż pływanie w sukniach myśliwskich ze sztućcem na ramieniu i z kordolasem u boku, zwłaszcza w miesiącu lutym, do przyjemności zaliczonem być nie może. Parę razy koń jeszcze tę samą ewolucję powtórzył, to wynurzając się z wody, to znów zapadając. Widząc groźne niebezpieczeństwo zawołałem z przerażeniem:

— Kazimierzu! Merdżankir tonie!

Jakby łódka na morzu, kierowana ręką zręcznego wioślarza, tak Rudka na wodzie, pomimo kry ciągle nadpływającej, zwinęła się płynąc, kierowana ręką wytrawnego swego i nieustraszonego jeźdzca; i Wodzicki, korzystając z chwili gdy się koń mój znowu nad falą ukazał, uchwycił go za cugle przy samem wędzidle. Nieszczęśliwe zwierzę, czując tę niespodziewaną pomoc, kilka rozpaczliwych skoków uczyniło naprzód i szczęśliwie stanęło na mieliźnie. Ja, brodząc dalej przy nim powyżej pasa w wodzie, szczęśliwie nareszcie doprowadziłem go do brzegu.

Cała ta przeprawa, mimowolna kąpiel o tej porze roku, dalsza jazda do domu w mokrych szatach na mokrem siodle, do rozkoszy zaliczoną być nie może — a przecież tak się czułem szczęśliwym; bo choć mnie osobiście żadne nie groziło niebezpieczeństwo, cóżby to była za klęska utopić komuś konia tak wielkiej wartości! Wspomnienie tego epizodu dziś jeszcze mnie dreszczem przejmuje i tylko przytomność umysłu i zręczność Wodzickiego uratowały mnie od tej ciężkiej klęski.

W kilka dni później zaznaczył się w księdze moich myśliwskich wspomnień znów ciekawy epizod, którego ja byłem bohaterem, ale w którym, ze wstydem wyznać to muszę, nie świetną odgrywałem rolę.

Z tą samą psiarnią polowaliśmy w Holeszowie u Aleksandra Jaźwińskiego. Z konia strzeliłem na znaczną odległość do bardzo dużego odyńca, a chociaż i śladu już ponowy nie było, ujrzałem na tropie silną farbę, ale żółtawą, z czego poznałem, że zwierz był miękko strzelony, a psiarnia za nim pognała do dalszej części rewiru zwanej „Nidwy“. Ten las, dziś prawie do szczętu wykorczowany, przemienionym został przeważnie na pastwisko; ale podówczas był gęszczą nieprzebytą. Wśród mokrej łąki stały tam większe i mniejsze klomby sitowia, wikliny, łoziny i oczeretów, między którymi rosły gdzieniegdzie karłowate olchy i czarna wierzba tak, iż przebycie tych gąszczy możliwe tylko było chyba przy bardzo silnym mrozie.

Otóż w jednym takim kilkumorgowym klombie psiarnia ostanowiła postrzelonego dzika. Wnet tam dojechałem, a zbadawszy teren, zeskoczyłem z konia i zająłem stanowisko w przekonaniu, że psy ostatecznie będą musiały wyparować zwierza z tej fortecy, dokoła otoczonej łąką, i strzał będę miał bardzo wygodny. W twierdzy wrzało jakby w kotle. Długo tak stałem, z przygotowanym do strzału sztućcem

w ręku, gdy nagle usłyszałem tentent kopyt końskich i ujrzałem kilku jeźdzców zbliżających się cwałem. To pokrzyżowało wszystkie moje kombinacye; któryś z kolegów — pomyślałem — dobije postrzelonego przezemnie dzika, to rzecz arcyprzykra i zazdrość myśliwska obudziła się we mnie z taką gwałtownością, że nie zważając wcale na niedorzeczność tego kroku i na rzeczywiste niebezpieczeństwo — jak student na wakacyach, który nie umiejąc pływać, w staw się rzuca za postrzeloną kaczką — na oślep w tej gąszczy w jednej chwili zatonąłem. Śmiejecie się ze mnie z pewnością z politowaniem, wy, wytrawni dzisiejsi myśliwi! A jednak zaręczam, że każdy z was, gdyby miał wówczas moje lata i mój zapał myśliwski, byłby to samo uczynił.

Z najwyższem wysileniem, uszedłszy kilka kroków, poznałem niedorzeczność mego postanowienia, ale nie byłbym się już cofnął za żadne skarby świata, i dewiza Blüchera, wstrętnego dla mnie zresztą w każdym względzie: *Blücher reterirt nicht!* stała się moją dewizą, bo zbyt silnie parła mnie naprzód namiętność myśliwska. Odgartując lufą i rękami wiklinę i suche trzciny, przeciskałem się jak wąż przez pampasy amerykańskie. Po tak mozolnym pochodzie dotarłem nareszcie do pola walki. Domyślałem się tego po bliskiem ujadaniu psów i fukaniu dzika, ale o krok przed sobą nic a nic nie widziałem.

W miejscu nieco mniej zarosłem, po chwiejących się górą krzakach poznałem, iż zwierz tam stać musi, bo i równocześnie też przy mnie zamigotało w trawie kilka psich ogonów. Prosto przed siebie lufki nawet wyciągnąć nie mogłem, ale wnet myśl mi przyszła, że dołem, gdzie trzcina jest rzadszą, prędzej będę mógł czegoś dojrzeć. Rzuciłem się więc na ziemię — dołem w wiadomym mi kierunku wzrok wytężam, i... o radości!... Tuż przed sobą poznaję dokładnie cztery racice stojącego odyńca... ale nic więcej!... Po położeniu tych racic pomiarkować tylko mogłem, że zwierz nie stoi na połeć odemnie — ale czy jest zwrócony na sztych, czy ogonem, tego już rozpoznać nie mogłem.

Nie miałem czasu do stracenia, bo tam dudniały kopyta rumaków moich kolegów — a więc przyłożyłem sztuciec do twarzy i, miarkując możliwe położenie zwierza, na oślep wypaliłem przez trawy... Cień jakiś przesunął się przedemną i w ten cień w zapale z drugiej lufy strzeliłem. Co się stało z moimi kulami, Bóg tylko wiedzieć raczy. Odyniec widocznie w chwili strzału stał do mnie na sztych i po strzale jak to mówią: „na dym poskoczył“. Teraz stanął o trzy kroki odemnie i zaczął się rozglądać do koła, kłami klamsając groźnie.

Byłoby to niesmaczną blagą z mej strony, gdybym powiedział, że położenie moje w tej chwili było przyjemne i jakikolwiek urok mi sprawiło. Zasłyszane kilkakrotne skomlenie skaleczonych psów utwierdziły mnie w przekonaniu, że dzik nie był wcale w złotym humorze, bo po strzałach poszedł od razu na dym, więc wyraźnie szukał myśliwego, którego dotąd dopatrzyć nie mógł. Wiedziałem, że najmniejsze poruszenie zdradzi moją bytność, a w tych warunkach wszelka walka z rozjuszonym zwierzem byłaby niemożliwą. Leżałem więc cicho, spokojnie, trzymając w ręku wystrzelony sztuciec kapslowy — teraz jak wachlarz niewinny i nieużyteczny do obrony; a psy oszczekujące dzika skakały nieraz po mnie, nie dopatrzywszy mnie także. Upokarzająca i nieestetyczna była to pozycya! Jak długo trwała, tego nie wiem; może minutę, może pięć, może pół godziny, ale mnie w każdym razie się wydawało, że trwała bardzo długo. Nie dojrzawszy mnie wcale, odyniec z psiarnią odszedł nareszcie i nie chcę twierdzić, żeby mnie to postanowienie jego było zmartwiło. Po chwili usłyszałem strzał jeden, drugi, a potem jakby ogień rotowy.

Wychyliłem się wreszcie z gąszczy, jakby nurek z topieli i ujrzałem na łące moich towarzyszy, stojących nad zwłokami tego samego odyńca, niezwykle wielkich rozmiarów. Wyskoczywszy na łąkę padł zaraz, ugodzony w krzyże kulą Ludwika Steckiego. Ale był to zwierz jakiś nieśmiertelny, walczył dalej z śmiercią, aż go obsypał grad ołowiu zebranych tam myśliwych. Wskutek tego byłem pozbawionym nawet przyjemności przekonania się, gdzie moje kule ugodziły, a to najsmutniejsze, że wskutek tych strzałów, tego okazałego zwierza nie mogłem sobie sumiennie zapisać w księdze mojej ubitej zwierzyny, nie będąc pewnym, czy odemnie otrzymał pierwszą kulę śmiertelną.

Od kiedy polować zacząłem, zapisywałem sobie zawsze z pedantyczną skrupulatnością zabitą przez siebie zwierzynę; ale postrzelonej lub przez innego dobijanej nie liczyłem sobie nigdy, również jak i dzików, które przy psach zmuszony byłem skłuć kordelasem. Musiałem ze wstydem zgromadzonemu tu areopagowi moją smutną, iście studencką opowiedzieć przygodę, i w istocie od lat szkolnych nigdy tak nie byłem wyłajanym, jak w dniu tym, przez ten areopag. Jeden z towarzyszy mi powiedział:

— Jeślibyś ty kiedy miał umrzeć w łóżku spokojnie — to byłby chyba cud Boży!

— Byle zginąć od dzika lub niedźwiedzia przy psach — to chętnie się zgadzam. Obyś był dobrym prorokiem!

— Niepoprawny — zakonkludował Wodzicki, zażywając tabaczki — ale my wszyscy tacy...

O niebezpieczeństwie polowania na dziki bardzo wiele, a nawet do przesyta pisano i opowiadano, a ja zawsze twierdzę, że nie tak dyabeł straszny jak go malują, bo wiele w tych opisach jest przesady. Nauczony długoletnią w tym względzie praktyką, śmiało twierdzić mogę, iż dzik należy do rzędu stosunkowo łagodnej i dobrodusznej zwierzyny, dopóki nie jest przez ciężką ranę lub przez zbyt długie drażnienie do rozpaczy doprowadzonym. On przecież w normalnym stanie rzeczy nigdy żadnej żyjącej istoty nie zaczepi, a przed pogonką nigdy, przenigdy nie zaatakuje myśliwego. Że zaś ucieka wtedy w oznaczonym przez siebie kierunku, więc nieraz zdarzyć się może, iż bezwiednie wpadnie na stojącego na jego drodze myśliwca, który, jeśli mu się na czas z drogi usunąć nie potrafi, może nawet przez niego zostać powalonym — ale w takich razach krwiożerczych chęci dzikowi przypisywać nie należy. Jest to czysty wypadek i takim wydarzającym się nieraz wypadkom, przypisywać tylko można owe słyszane i opisywane nieraz przygody myśliwych, atakowanych przez dziki przy polowaniach z nagonką. Wyjątek tu stanowią dziki poprzednio silnie postrzelone, którym ból i gorączka bardzo dokuczyły i które, kilkakrotnie ruszone z barłogu, ze złością rzucają się nareszcie na strzelca, którego obaczą. Ale i tu wypadki nadzwyczaj są rzadkie.

W długim moim żywocie myśliwskim zaledwie kilka takich wypadków zaznaczyć mogę, jako to: atak dzika, dzień przedtem postrzelonego w Pieniakach, na księcia Sapiehę; podobnyż atak na Stanisława Tarnowskiego w Dobrohostowie i na księcia Wirtemberskiego w Rachini. Zawsze atoli dzik był poprzednio postrzelony, a długa za nim pogoń i kilkakrotne wyruszenie z barłogu, w szał go ostatecznie wprowadziły. Nie widziałem wszakże wypadku, ażeby dzik, przed pogonką raniony, odrazu rzucił się na myśliwego. Przed psami — to rzecz inna. Spokojne to, chociaż wcale nietrwożliwe zwierzę, łatwo da się rozdrażnić przez oszcze-

kującą go psiarnię, a na tyle sprytu posiada, ażeby poznać, iż ta dokuczająca mu zgraja psów jest tylko narzędziem w ręku jego głównego wroga — strzelca. To też oganiając się od tej zgrai, której często śmiertelne zadaje ciosy — spostrzegłszy tego śmiertelnego nieprzyjaciela, bardzo często o psiarni zapomina i godzi wprost na niego. Ale i to zależy przeważnie od indywidualności zwierza, o czem mnie moje długoletnie na tem polu doświadczenie upewnia, bo mi się zdarzało nieraz spotkać dzika, istnego furyata, rzucającego się na wszystko, co stało na jego drodze — a znów innego z limfatycznem usposobieniem, który i psiarni lichy stawiał opór i starannie spotkania z myśliwym unikał, byle tylko własną ocalić skórę.

Kilka na to dowodów z życia mego mógłbym postawić.

Raz, pamiętam, w lasach Bukaczowieckich goniłem konno za postrzelonym odyńcem, którego przeszyłem dwiema kulami szpiczastemi, ze sztućca systemu Dreyse. Jestto na grubego zwierza najlichszy wynalazek, jakikolwiek sztuka rusznikarska wymyśliła. Obie kule, jak się później przekonałem, przeszły na wylot przez komorę nieco niżej serca, a dzik pomimo tego parę set kroków pomykał dalej, goniony przez psiarnię. Gdy ostanowił się nareszcie, spostrzegłem z przerażeniem, iż torba moja z ładunkami, zarzucona przez ramię, gdzieś podczas pogoni została na jakiejś gałęzi, wskutek przerwania rzemyka, czego ja w zapale nie zauważałem, i do tej pory może jeszcze w tym lesie, na tej gałęzi wisi, jeśli jej kto przypadkiem nie znalazł, bo moje poszukiwania były daremne. Sposób to najniepraktyczniejszy noszenia ładunków przy konnej jeździe i od niego moich towarzyszy myśliwych ostrzegam. Tak więc, nadjechawszy do ostanowionego postrzelonego odyńca, znalazłem się ze sztućcem w ręku ale bez ładunków. Cóż robić? W kordelasie jedyna nadzieja. Ale wyznaję, że ten sposób zabijania zwierza był mi zawsze wstrętnym, gdyż zwierzyna tak wspaniała jak odyniec zwłaszcza, warta tego, by jak rycerz na polu chwały ginęła od kuli a nie od noża, jak ginie przeważnie biała, ucywilizowana połowa tego rodu. Tu wszelakoż wyboru nie było i do tej zawsze dla mnie wstrętnej musiałem się zabrać operacyi.

Psy oszczekiwały dzika tylko, ale nie trzymały go dobrze, więc o prawdziwie myśliwskiem pchnięciu od prawej łopatki do serca nie było mowy; uchwyciłem zatem dzika za tylną racicę i dałem kilka pchnięć, które nie były śmiertelne. Widocznie do roli Toreadora z dzikami najmniejszej nie mam zdolności. Z siłą tylko trzymałem uchwyconą racicę, i wlokąc się za dzikiem po ziemi, powtarzałem pchnięcia na oślep. Gdyby ten dzik był furyatem jak inne, cóż by się było mogło stać ze mną i z psiarnią? Ale on, pomimo podeszłego wieku a może i dla tego właśnie, był widocznie limfatycznego usposobienia, bo psom się prawie nie bronił i cierpliwie znosił te moje niezręczne pchnięcia, aż wreszcie jedno, wymierzone szczęśliwie w serce, przeniosło go do dziczego raju.

Jako przeciwstawienie temu, opowiedzieć znów muszę fakt ciekawy, który mi się wydarzył, gdym polował u siebie w Brzeżańskiem, z gończymi psami, gdzie wcale nie spodziewałem się dzików. Gończaki przypadkiem napadły maciorę z małymi warchlakami, jednego z nich odbiły, i zaczęły w miejscu naszczekiwać. Podbiegłem — i ujrzałem kilkumiesięcznego warchlaka w zaciętej walce z psami. Psy moje były przeważnie młode i nigdy jeszcze dzika nie widziały. Skoro się zbliżyłem — ten miniaturowy dzik, gdy mnie ujrzał tylko, z wściekłością rzucił się na mnie — a strzelić nie mogłem, bo cała psiarnia na nim siedziała. Kopnięciem nogą odrzuciłem go na bok, ale po chwili, pomimo ujadań psiarni, powtórzył on swój atak tak, że odskoczyć musiałem, a nie mając przy sobie kordelesa, nie mogąc go zabić strzałem, z obawy, ażeby mój nabój śrótowy psa którego nie zranił, czułem się w obec niego bezbronnym. Te ataki powtórzyły się jeszcze kilka razy, aż nareszcie, przy jednym z nich uchwyciłem zwierza za uszy. Wielką miałem ochotę tego młodego bohatera w jassyr wziąść żywcem i zanieść go do domu, ale tak był silny impet tego, stosunkowo małego zwierzątka, że mi się wyrwał, podobnie jak i gryzącym psom, i po chwili znów powrócił do ataku. Nadbiegł nareszcie gajowy i ubił go toporkiem.

Zauważałem, że w tem małoletniem pokoleniu taki duch rycerski często się objawia, i sam już kilkakrotnie nagabywany byłem przez takie miniaturowe dziczki, a pamiętam jak raz w Lisowicach, nawet przed pogonką, postrzelony warchlaczek Hudetza zaatakował, i jeśli mnie pamięć nie myli, nawet na ziemię wywrócił. Ludwik Stecki mi opowiadał, że go raz przy psach bardzo młody warchlak silnie w nogę skaleczył. Zresztą, pomimo iż z góry lat trzydzieści na dziki poluję, i to przeważnie z psami — z wyjątkiem jednego wypadku o tragicznem rozwiązaniu, o którym na innem miejscu wspomnę — nigdy nie byłem świadkiem żadnej katastrofy. Sam kilkakrotnie przez dziki byłem atakowanym — nie przeczę — ale zawsze moja własna nieuwaga była tego powodem, a nigdy szwanku nie odniosłem. Raz tylko, gdy byłem jeszcze bardzo młodym i niedoświadczonym, powalony zostałem przez odyńca, którego wypchana głowa dotąd mój myśliwski salonik zdobi. I tu była moja wina — moja bardzo wielka wina: gdyż postrzelonego, a przez psy ostanowionego odyńca, dobiegłszy z wystrzelonym sztućcem, chciałem dobić kordelasem, pchnięciem w piersi. Tylko dzielności mojej psiarni zawdzięczam moje ocalenie.

Teraz przykład niezwykłej odwagi, więcej powiem, bohaterstwa, przychodzi mi na myśl, i z nim się podzielić jeszcze muszę z czytelnikiem.

W jednym z rewirów Żurawieńskich po dziś dzień znajduje się jeszcze p. Bezuszko. W skutek nie wiem jakiego wypadku utracił on jedną rękę, ale drugą włada wybornie lekką strzelbą, o ile mi się zdaje pojedynką, która jest przechodem między strzelbą a pistoletem, a jednak z tej niepokaźnej broni zdarzało mu się celne robić strzały. Polowaliśmy z pogonką w jedlinie Żurawieńskiej u Tadeusza Chajęckiego. W miocie „Koszarki“ dzik postrzelony przeszedł w miot „Borsukowe“. Uradzono ten miot na niego założyć, i w trop puścić pieska tropowca, by go pod naciskiem pogonki na linię strzelców wygonił. Że w postrzeleniu dzika byłem partykularnie zainteresowanym, wyprosiłem sobie u Chajęckiego pozwolenie pozostania przy tropowcu, obiecując solennie, że za tropem nie pójdę, dopokąd sygnału rozstawionych strzelców nie usłyszę, i że się naprzód przed linię pogonki w pogoni za dzikiem nie wysunę.

Tak się też stało. Sygnał rozstawionych na linii strzelców dał się slyszyć, puszczono tropowca, pogonka ruszyła, a ja w jej szeregach, nie przyspieszając kroku. P. Bezuszko, leśniczy tego rewiru, szedł koło mnie. Tropowiec, znakomita to psina, pół wyżeł pół gończak, wyprzedził nas o kilkaset kroków, i w parowie zaczął naszczekiwać, ale ani ja ani pan Bezuszko nie przyspieszyliśmy kroku, bo nam to dyscyplina myśliwska zakazywała. Gdy linia pogonki wraz z nami zbliżyła się do tego miejsca, ujrzeliśmy widok wspaniały. Nad stokiem parowu, wśród niebotycznych jodeł,

stał odyniec, a w około niego, ciągle naszczekując, biegał tropowiec. Na znaczną odległość strzeliłem do stojącego zwierza z dowodnego sztućca systemu Lefaucheux, wyrobu Wiśniowieckiego, z którego oddawna wszelką drobną nawet zwierzynę kniejową strzelałem. Dzik padł na miejscu i pies rzucił się na niego, ale po chwili dzik zerwał się na równe nogi, bo był to jeden z owych nieśmiertelnych. Po drugim moim strzale ta sama nastąpiła scena, ale cóż?... Gdy powstał znowu, obejrzał się do koła, i zaraz przez parów rzucił się na mnie. Ja stałem w tak wązkim parowie, o stromych brzegach, że ucieczka wszelka była niemożliwą, a pan Bezuszko stał przy mnie. Przerażona pogonka zaczęła krzyczeć w niebogłosy, i każdy chłopiec począł się wspinać na pierwsze lepsze drzewo, które dopadł. Komiczna była to scena popłochu. Odyniec z góry wprost na nas szarżował parowem; chwytam więc nabój z ładownicy i zabieram się do nabijania sztućca, gdy p. Bezuszko spokojnie wymierza do sadzącego wprost na nas zwierza. Kapsel prysnął, nabój nie wypalił. Katastrofa nieunikniona. A jednak p Bezuszko, ze spokojem rzymskiego senatora, broń swą spuścił — ale o ucieczce nie myślał wcale, a było mu to możliwem, bo parów był wązki wprawdzie, ale po za moimi plecami mógł się łatwo salwować. Nie, on wiernie pozostał przy mnie, gotów dzielić złą i dobrą dolę.

Zdołałem jeszcze na czas włożyć jeden ładunek w lufę i tego, do najwyższego stopnia rozwścieklonego zwierza, położyłem strzałem na sztych w czoło, w chwili, gdy był o parę kroków odemnie. Czyż ten spokój, ta odwaga p. Bezuszko niewarte są wspomnienia?

Jakże w obec tego rażąco występuje fakt analogiczny, opowiadany mi w Węgrzech, przez kilku ze wszech miar wiarogodnych naocznych świadków. Jeden z udzielnych książąt niemieckich polował na niedźwiedzie u któregoś z Siedmiogrodzkich magnatów. Na stanowisku miał za sobą strzelca Niemca, ze słynnej szkoły w Mariabrun. Niedźwiedzica, już kilkoma strzałami raniona, ze zgrają psów wypadła na księcia, ale jego dwa strzały nie powaliły jej, tylko ją bardziej jeszcze rozdrażniły, i obces rzuciła się na księcia. Ten zwrócił się do swego strzelca, by mu podał drugi sztuciec, lub go sam celnym strzałem od niebezpieczeństwa obronił. Ale Niemiec, zapomniawszy o sztućcu, siedział na jodle. Nie zapominając jednak o etykiecie, do jego służby należącej, z uszanowaniem zdjął z głowy kapelusz ze wspaniałym pióropuszem i zawołał:

— Königliche Hoheit! retten si sich wie sie können!

Przypadkowo nadbiegły chłop Siedmiogrodzki, celnym strzałem ugodziwszy niedźwiedzicę, uratował księcia od niechybnej zguby. (C. d. n.)

Wędrówki naszych ptaków.

Skreślił

Władysław Spausta.

(Ciąg dalszy.)

Podczas gdy pewne gatunki ptaków wędrówki swe z największą odbywają regularnością co do czasu, nie można dostrzec owego pedantyzmu u innych. Mam tu na myśli zawsze wędrówki głównych stad, bo jeżeli weźmiemy na uwagę wędrówki zwiadowe i opóźnione ariergardy, to i u najregularniejszych wędrowców rozciągnie się nadmiernie okres czasu. Ztąd pochodzi, że podania ogólne wędrówek niemal wszystkich ptaków, jeżeli tylko wzięto w rachubę czas pojawienia się pierwszych rekonensansów aż do opuszczenia okolic przez spóźnione egzemplarze, oznaczają bardzo szeroko granice czasu wędrówek.

Pomimo, iż bociany zwykle najregularniej około 15 sierpnia zaczynają się gromadzić a około 20 sierpnia odlatują, widywałem pojedyncze te ptaki o wiele później, ba, nawet nieraz towarzystwa z kilku sztuk złożone, a roku ubiegłego widziałem 4 sztuki zupełnie zdrowych bocianów dnia 10 października, żerujących na wodach w Kołodrubach. Wędrówki główne owych systematyków, o ile dostrzec mogłem, różnią się mniej więcej o dni 10 stosownie do klimatu i prądów atmosfery, a mam tu na myśli kulony i skowronka na wiosnę, bociany, jaskółki dymówki, gajówki, słowika samca, kukułki, jakoteż wiosenną wędrówkę żurawi i gęsi. U innych gatunków dostrzegałem daleko szersze granice czasu, a u tych różni się tem bardziej pora wędrówek stad głównych, im wcześniej pewny gatunek przybywa.

Zbyt często o niezwykłej porze jawią się pojedyncze egzemplarze jakiegoś ptactwa. Tu i ówdzie ujrzano bociana, pod strzechą zaświergotała jaskółka, a na pastwisku śniegiem i lodem pokrytem rozległ się głos czajki, jednak trudno wyśledzić większej ilości tych ptaków, wszędzie jeszcze zima, wszędzie grobowa zalega cisza, a na takiem tle tem dobitniej znaczy się byle jaki głos świeży, byle jakie pojawienie się zwiastuna upragnionej wiosny. Po kilku dniach zniknęły i owe pojedyncze ptaki, pomimo że nie możemy przyczyn tego się dopatrzeć; zwątpienie jakieś ogarnia umysł; coraz dłuższe dnie o tej porze — światło, biorąc przewagę nad nocą, uporczywie popycha świat cały do życia — a tymczasem budzące się życie uciekło od nas, jakby bojąc się zagłady. Próżna trwoga! Już ukazują się wędrowne legiony mas całych, ptactwo rozsiedla się po całej krainie, inne wesoło nawołuje lecąc dalej, lasy rozbrzmiewają tysiącami trelów, powietrze drży od szumu skrzydeł. Po kilku dniach widowisko to ustaje, zmniejszając się stopniowo, a wreszcie małe stadka lub tylko już pojedyncze egzemplarze z gorączkowym pospiechem dążą za głównymi masami.

Przez kraj nasz wędruje ptactwo rozmaitych stref na północy od nas położonych. Jedne z nich rzadko kiedy spoczywają u nas, inne popasają nieraz dość długo, żerują, a wreszcie spieszą dalej, gubiąc się częstokroć w dalekich krainach podbiegunowych, w których nie śmierć i milczenie, ale gwarne panuje życie, gdzie podostatkiem żeru i warunków życia dla tych gatunków ptasiego rodu. Wprawdzie niewiele tam gatunków, lecz natomiast krocie indywiduów,

które, przepędzając lato pod biegunami, wędrują daleko na południe, nieraz o wiele dalej niż nasze rodzinne gatunki, a z wiosną muszą przelatywać kraj nasz z powrotem.

Żeglarze w strefach podbiegunowych nie mogą się naopowiadać o owem życiu, jakie się tam na północy z nadeszłą wiosną budzi. Pod 76° sz. g. widział Sutherland gęsi północne *(Bernicla torquata)* jakoteż kaczki odlatujące jeszcze dalej na północ; przy mrozie 50—57 C. strzelano bardzo tłuste śnieguły (pardwy) pod 73 $^1/_2$ sz. g. i wole ich były przepełnione, a w zatoce Magdaleny na wyspie Spitzbergen zabito z dwóch łodzi 1500 traczyków *(Mergullus alce)* po 15 sztuk na jeden strzał. Życia było tam tak mnogo i tyle żeru na wodzie, iż kolor morza był zmieniony w skutek zagęszczenia wody materyałami pokarmowymi, składającymi się z rozmaitego rodzaju mięczaków i raków.

Wziąwszy w rachubę owe niezliczone ptactwo, którego ojczyzną są wybrzeża morza Bałtyckiego, jakoteż jeziora ogromne północnej Rosyi, możemy mieć wyobrażenie, jakie to masy przelatywać muszą tych gatunków, które zimę na południu od nas przepędzają. I otóż zdarzają się podczas wędrówek także dla myśliwego chwile, iż nietylko może zaspokoić najwybredniejsze swe wymagania łowieckie, ale i wzbogacić zbiory bardzo rzadkimi okazami. Po muzeach ptaków w kraju ubitych można do zbytku spotykać takie egzemplarze, a w mej praktyce myśliwskiej często zdarzyło mi się dostać taką egzotyczną zdobycz. W r. 1884, w późnej już jesieni, przyniósł mi chłop rybak rdzawogardłego nura *(Colymbus glacialis)*. Wspaniałego tego ptaka, którego rybak, jak powiadał, ujął w więcierz na ryby zastawiony, umieściłem na małym stawku podwiązawszy mu skrzydła; jednak nie wiadomo mi jak się oswobodził, bo znikł zaraz pierwszej nocy. Rozpiętość jego skrzydeł wynosiła przeszło $1^1/_2$ metra a niebył w niczem uszkodzony.

Jednoplemienne ptaki, z jakichbądź one stref klimatycznych pochodzą, lecą razem poniekąd, łącząc się w stada ogromne, i gubią się powoli w miarę przelotu przez swą ojczyznę, co osobliwie u bocianów dostrzec można. Naturalnie, że spostrzeżenia te u jednego gatunku nie upoważniają do wypowiedzenia ogólnego w tej mierze pewnika, jednak liczne inne doświadczenia w tym względzie każą się domniemywać, że u wszystkich gatunków rzecz się ma podobnie.

Z pierwszym brzaskiem wiosny roku 1884. dostrzegłem raz stado kaczek, zapadające na stanowiska dawne pod Brzeźcem (pow. Rudecki). Stado to złożone było z rozmaitych odmian, a między innymi były tam i kaczki płaskonosy (*Anas clypeata)*, których gnieżdżenia się u nas dotychczas nie udało mi się skonstatować. Po kilku dniach płaskonosy odleciały w stronę północną, a inne kaczki pozostały.

Jeżeli zatem rozmaite odmiany podróżują razem, pominąwszy, że do innych stref klimatycznych należą, jest prawdopodobieństwo, że tembardziej zwyczaj ten zachowują równoplemienne stref rozmaitych. Zwyczaj ten u bocianów skonstatował hr. Wodzicki, a ja w mem życiu również po kilka razy znalazłem potwierdzenie tego spostrzeżenia. Bocian, przybywszy z wiosną, przelatuje niezbyt wysoko w liniach zygzakowatych, jakby rozpatrywał się i rozpoznawał swe dawne siedziby. To bocian nasz, bocian zrosły z naszą strzechą i tradycyjnem kołem na drzewie. Innych krajów bociany, które usiadają u nas dla żeru i spoczynku, wzlatują w górę, wysoko, i lecą w prostym kierunku.

W roku 1888 spostrzegłem wielkie stado bocianów, nadlatujące od południa zachodniego nad t. zw. kępę pod Nową Wsią (powiat Rudecki). Stado się zniżyło, a bociany usiadły na brzegu łąki. Po godzinnem może odpoczynku, zerwały się, a cztery sztuki pozostały na łące, skierowawszy, głowy ku zachodniemu wtenczas wiatrowi. Po upływie godzin kilku, a było już popołudniu, wzleciały i one, a te pociągnęły w stronę Nowej Wsi, zatem w kierunku południowym, zniżając się coraz bardziej. Były to niewątpliwie bociany nasze.

Ptactwo wędrowne, lecąc stadami, zachowuje w locie zawsze pewien porządek, właściwy każdemu gatunkowi. Jeżeli obznajomienie się z tym porządkiem niezbędnem jest dla badacza, to i koniecznem dla myśliwego, bo często się zdarza, iż tylko z charakterystycznych kształtów, w jakie się stado grupuje, daje się rozpoznać gatunek ptactwa, gdy oko szczegółów postaci a cóż dopiero barwy odróżnić nie może. Porządek ten zachowuje ptactwo nawet wtenczas, gdy gromadnie z miejsca na miejsce przelatuje. U wielu bardzo ptaków oko nasze wprawdzie nie może odróżnić jakiegoś symetrycznego układu indywiduów, w grupach jednak mimo to panuje pewien porządek, utrzymuje się stale to samo ugrupowanie.

Nie mogę się tu rozwodzić nad owym porządkiem w grupowaniu się stad i przytaczać niezliczone przykłady; ogółowo tylko powiem, iż drobne ptactwo i wiele ptaków błotnych wędruje w stadach, w których żadnej symetryi układu dopatrzeć niepodobna (jaskółki, rozmaite rodzaje ziembowatych ziarnojadów, drozdy, szpaki, skowronki). A jednak i tutaj istnieją różnice w układzie. I tak: jedne rozciągają się szerokim pasmem, inne zbijają się w wązkie kliny, inne w okrągłe grupy, te zgęszczają się w pierwszych szeregach, owe rzadko lecą na przodzie a zgęszczają się ku tyłowi, inne tworzą gęste centra, otoczone rzadkimi osobnikami na peryferyi — jednem słowem są to charakterystyczne kształty, po których rodzaj ptaka, gdy leci ponad nami, doskonale poznać można.

Wiele większych ptaków zachowuje ściśle te same symetryczne kształty. I tak: gęsi lecą w ukośnych liniach, kaczki krzyżowe w liniach prostych, żurawie tworzą tak zwane klucze, złożone z dwóch linii ukośnych, a są to kąty niemal zawsze tej samej rozwartości i częstokroć o nierównej długości boków. Że w wędrownych stadach istnieje jakieś przewodnictwo, tego na pewno jeszcze nie docieczono i zdania badaczy są pod tym względem rozmaite. To pewna wszakże, iż istnieje bardzo zwięzła i energiczna komenda, a są nią pewne głosy i ruchy, wydawane przez ptactwo zrywające się do lotu. Z szybkością nadzwyczajną pojmuje całe stado dany rozkaz i nikt nie pyta o szczegóły. Czaty i zwiady, jakie wiele gatunków rozstawia i wysyła, dowodzą, że istnieje tam organizacya, a zapobiegliwość ta i przedsiębrane środki ostrożności zdają się udowadniać przewodnictwo jednostki obranej.

Wielu przyrodników utrzymuje, iż ptaki starsze prowadzą młodsze. Twierdzenie to łatwo uzyskuje wiarę, bo na zasadach analogii trafia każdemu do przekonania, grzeszy jednak tem, że jest nieprawdziwe. Łatwo to sprawdzić, obserwując sposób przybywania i odlotu naszych zwykłych ptaków. W większości tychże odlatują ptaki stare daleko wcześniej niż młode, a najwyraźniej widać to na kaczkach i ptactwie błotnem. Po odlocie starych, strzelałem nieraz rozmaite gatunki rzeczonych ptaków, a były to niemal zawsze ptaki młode, tegoroczne. Tak samo ma się rzecz na wiosnę. Nie są to bynajmniej spostrzeżenia lokalne, pojedyncze, bo potwierdzenie tego znalazłem w badaniach wielu znakomitych znawców tego przedmiotu.

Powodem tego zjawiska zdaje się być daleko późniéj rozpoczynające się pierzenie u ptaków młodych, niemniej i słabszy stopień wrodzonej żądzy wędrówek, którą młode ptaki dopiero po raz pierwszy odbywać mają i z doświadczenia jeszcze nic o tem nie wiedzą. Opóźnienie zaś przelotu ptaków młodych zdaje się leżeć w zbadanej już okoliczności, iż młodzież pewnych gatunków daleko głębiej wędruje na południe, niż ptaki stare, mając zatem dalszą drogę z powrotem do przebycia, opóźniają się nieco. Wobec tego zatem wątpię, aby ktoś mógł wierzyć w podobną do prawdy lecz nieprawdziwą gadkę, o przewodnictwie ptaków starszych u swojskich gatunków.

U niektórych gatunków ptaków, n. p. u kaczek, pozostaje pewna liczba starych samców. Posądzać by ich można o pretensyę przewodnictwa pozostałych młodych, podczas gdy stare kaczki już odleciały. Tymczasem nie pożera ich bynajmniej ta ambicya; pozostają one długo jeszcze po odlocie młodego pokolenia, i wynoszą się niepostrzeżenie, gdy już śniegi zapadną, a nawet czasem zimują.

Młode zatem ptactwo wielu gatunków wędruje samo, pociąg wędrówki i zmysł oryentacyjny prowadzi go do celu, i żadnych nauk seniorów nie wymaga. Wrodzony ten pociąg stoi na przeszkodzi udomowieniu wielu gatunków, i objawia się bardzo silnie nawet u małych ptaszków, z gniazda wybranych, z ręki wyżywionych i w klatkach utrzymywanych. Ptaszki te, nie doświadczywszy jeszcze wędrówki, okazują pewien niepokój podczas wędrówek współplemieńców, co tem szczególniejsza, że niepokój ten objawia się i w zamkniętej izbie, gdzie z pewnością nie mogą słyszeć nawoływania swych współplemieńców, jak to chcą niektórzy wytłumaczyć.

Żałuję mocno, że wrodzony mi wstręt do utrzymywania ptaszków w klatkach nie pozwolił mi robić w tym względzie doświadczeń, jednak znane są to rzeczy amatorom ptasich karcerów, a zbyt często słyszałem od nich utyskiwania, iż drozd, kos, czeczotka lub przepiórka nie dają mu w nocy spać i tłuką się nie wiedzieć dla czego. Było to zawsze w porach wędrówek.

Stary Nauman powiada, że dłużej lub krócej trwający ów gorączkowy niepokój jest zarazem niejaką wskazówką dalszej lub bliższej wędrówki odnośnego gatunku, a nowe doświadczenia zdają się potwierdzać owe spostrzeżenia znakomitego badacza.

Ciemna zatem kwestya przewodnictwa została o tyle rozjaśnioną spostrzeżeniami na pewnych gatunkach ptaków, iż wędrówki mogą się odbywać i odbywają się bez przewodnictwa starszych, u innych zaś ptaków spostrzeżono, iż przewodnictwo odbierają największe egzemplarze, osobliwie ma to miejsce u wędrownych stad biegusów *(Tringae)*, u których zwykle zrywa się najpierw ptak największy i poprzedza inne w locie, prowadząc je niejako za sobą. Czy ten egzemplarz największy jest zarazem starym i doświadczonym, to inne pytanie, które niełatwo rozwiązać.

Przewodnictwo istnieje nietylko u stad ściśle wędrownych ptaków, ale również u ptaków przeciągających z okolicy jednej w drugą. Tu łączą się nieraz rozmaite gatunki i przelatują razem, jeżeli tylko przyrodzone własności na takie towarzyskie przeloty zezwalają. Znane są n. p. połączone przeloty kwiczołów *(Turdus pilaris)* i paszkotów *(Turdus viscivorus)*, niemniej rozmaitego rodzaju sikor, wolików a nawet dzięciołów.

Zeszłej jesieni, owej smutnej pamięci głuchej jesieni, znalazłem się o świcie w ciemnym lesie świerkowym. Niezwykła cisza, nieprzerywana ani kołysaniem się gałęzi ni jakim kolwiek głosem żyjącej istoty, ponowała koło mnie; zbierałem obfite w lesie rydze. Wtem rozległ się głos sikor, zaciórkał gdzieś w oddali dzięcioł, a szelest skrzydełek i poruszające się wierzchołki drzew, upewniły mnie, że cała zgraja ptasząt usiadła nademną. Czekałem cicho przez chwilkę i wnet byłem otoczony do koła życiem i głosami ptaszęt. Na każdej gałązce siedział jakiś ptaszek, wszędzie ruch, w miejscu, gdzie przed chwilą nie można było dopatrzeć żyjącej istoty. Kilka dzięciołów łaziło po drzewach w towarzystwie pełzaczy *(Certhia)*, sikory jak małpy wieszały się po gałązkach, modre żydóweczki *(Cyanistes coeruleus)* przedrzeźniały się, popiki kuły, trzymając w łapkach jakieś nasionka, a niezliczona ilość królików *(Regulus)*, owych istnych naszych kolibrów z płomykami na główkach, przelatywała pomiędzy gałązki. Trwało to z kwadrans. Ptaszęta to oddalały się na sąsiednie drzewa, to znów zbliżały się, że niemal ręką mogłem je dostać, nie okazując żadnej obawy, aż naraz zatrąbiła: tra-ra-ra sikora, zaciórkały dzięcioły, i całe stado jakby na hasło uleciało dalej razem.

Znów nastąpiła smutna cisza. Zapomniałem o rydzach, zdawało mi się, że i część moich myśli z ptaszynami uleciała.

I tu także zanadto widoczne przewodnictwo, jednak nie przewodnictwo największego ani najstarszego, ale prawdopodobnie najrozumniejszego ptaka. Pozwolę sobie wspomnieć tu o przekonaniach prostaczków, przemawiających niby za tem, iż przewodnictwo dają ptaki rozumowi. Istniała powszechna wiara pomiędzy ptasznikami, iż żuraw wyprowadza rozmaite wędrowne ptactwo ze stref naszych, gdy zima się zbliża. Rzecz ta o tyle jest ciekawą, iż warto się nad nią zastanowić, zwłaszcza, gdy się odczuwa we własnym organizmie dziwne działanie pożegnalnych kiurkań oddalających się żurawi, i dostrzega jakiś rodzaj zaciekawienia u rozmaitego rodzaju ptactwa, gdy klucz żurawi w późnej jesieni przelatuje nad jakąś okolicą. Jakiś wpływ muszą wywierać mądre te ptaki na ogół, i musi on uznawać w żurawiu przewagę roztropności i wszelkie inne dodatnie przymioty, bo gdy przypatrzymy się w tej chwili z ukrycia rozmaitemu ptactwu, przekonamy się, że chwila tego przelotu nie jest dla niego obojętną. Apatyczna i zawsze zadumana czapla, zwykle wpatrzona w wodę, w której widzi jedynie swe szczęście, wyciąga szyję, i głowę kieruje ku kluczowi żurawi; świergot drobnego ptactwa przycicha i mnóstwo czarnych ocząt jakby magnes przyciąga w ową stronę; żarłoczne i zawsze głodne kaczki odrywa to zjawisko od tego fachowego zajęcia, odpoczywają przez chwile szerokie dzióby, a główki przekręcają się w najdziwniejszy sposób w kierunku, zkąd pochodzi pożegnalny hymn stada „wesełyków“. Wszystko bada, wsłuchuje się w owe głosy z pod obłoków, a w powietrzu zda się brzmieć przestroga: „Lećcie za nami, bo wkrótce będzie już za późno“.

Tylem wyrozumiał, a ptasznicy dodają, że słucha ptactwo tego głosu, i wkrótce po odlocie żurawi na wodach pusto, w gajach cicho, na polach nie ujrzysz przelotnej ptaszyny.

Nie posądzaj mnie tutaj łaskawy czytelniku o marzycielstwo i wyciąganie sentymantalnych wniosków, dlatego, iż przyznałem się, jakie uczucia wywołuje w człowieku wędrówka żurawi; nie przywykłem patrzyć sentymentalnem okiem na dzieła przyrody, a to, co tu o wpływie żurawi na inne ptactwo powiedziałem, jest najrealniejszą prawdą. Istnieje przewodnictwo w stadach, lecz wszędzie zachodzi prawdopodobieństwo, iż stada ulegają znów komendzie wyższej, komendzie tych, którzy roztropnością i wszelkimi przymio-

tami górują nad innymi, w których ptactwo pokłada ufność prawdziwą, a tę zdobywa tylko prawdziwa wyższość umysłowa.

U wielu gatunków przylatują najsamprzód samce, co się u słowika najwidoczniej objawia, bo z pewnością nikt nie ujrzy w maju, gdy się słowiki pojawiają, wdzięczne te ptaszki parkami. To samo da się powiedzieć o wielu ptaszkach drobnych owadożerczych, jak gajówki *(Sylviae)*, wołowe oczko *(Troglodytes parvulus)*, pleszka *(Luscinia phoenicura)*. Są to gatunki, których płci dają się łatwo odróżnić, dla tego zwracałem na nie uwagę. Samiczki jawią się zwykle o dwa tygodnie później. Niemniej w rodzie bocianów ten sam panuje porządek, chyba z tą różnicą, iż bocianice w kilka dni po bocianach już przybywają.

U innych gatunków wędrują pospołu obie płci; sprawdziłem to na kaczkach, kszykach, dubeltach, gęsiach i perkozach, a o ile szczupłe me doświadczenia przemówić mogą, ma to miejsce, u słonek, pomimo, że wielu myśliwych sądzi o tem inaczej. Wiadomo, że pierwsze z wiosny słonki pojawiają się z rzadka, i nie widać u tych pierwszych, owych zalotnych igraszek powietrznych na ciągu, a ma to dopiero miejsce, gdy ciągi stają się gęstszymi w porze późniejszej. Naprowadziło to na myśl, że pojawia się naprzód tylko jedna płeć. Długi czas ciekawa ta zagadka zajmowała uwagę moją, aż wreszcie przekonałem się, iż w pięciu wypadkach owe pierwsze słonki były 3 razy samcami a 2 samicami. Co oczy ujrzały, zaprzeczyło upartej wierze. Podając ten fakt, daleki jestem od myśli, iż posiada on już prawo niezaprzeczonego pewnika, bo cóż ja nazwał pierwszą słonką i czyż ona była pierwszą w rzeczywistości? Zwykle niska jeszcze temperatura podczas rozpoczęcia się ciągu słonek jest prawdopobnie przyczyną, iż gody powietrzne dopiero później się rozpoczynają. Wtenczas dopiero budzi się silny ten popęd, widzimy szczególne zjawiska na ciągu, i zdaje nam się, że powodem tego jest przybycie piękniejszej połowy rodzaju słonczego. Bynajmniej! Były już przedtem samiczki, jednak niska temperatura, a z nią w styczności będący żer był skąpy, a zatem bieda, ciągi z gorączkową skwapliwością odbywać się musiały, i nie było czasu myśleć o czem innem.

Przybywanie obu płci razem miałem sposobność dokumentnie sprawdzić u perkozów *(Podiceps cristatus)*. Ptak ten dziwnie przywiązany do jednego miejsca ułatwił mi obserwacye. Na stawie pod wsią Rumno (pow. Rudecki), rozciągającym się niby rzeka wązkim a długim pasmem pomiędzy polami i łąkami, przebywało trzy pary perkozów, podzieliwszy się niejako panowaniem na stawie, bo każda para zajmowała pewną tylko część powierzchni stawu, nie wkraczając w państwo sąsiedniej pary. Przez lat kilka widziałem je zawsze, nieraz dwa razy dziennie pływające po czystej szybie wód; widywałem je później razem z młodymi, jednak przez wszystkie lata nie powiększyła się ilość tego ptactwa; owe trzy parki przebywały dalej na stawie, a młode pokolenie widocznie inne obierało siedziby.

Spostrzeżenia nad perkozem dają się łatwo uskutecznić, bo ptak ten unika miejsc zarosłych i lubi pływać i nurzać się na odkrytej wodzie. Z wiosną 1886, jeszcze część lodów leżała na stawie, trawy i trzciny przy brzegach powyrzynano w zimie, przegląd był zatem doskonały, na stawie były pusto i głucho. Ponieważ niemal codziennie prowadziła mnie droga po nad staw pagórkiem, z którego widok na cały staw się roztaczał, mogłem nawet wolnem okiem obserwować każdą zmianę fauny ptasiej na stawie. Otóż jadąc wcześnie rano na drugi dzień, ujrzałem na stawie wiele kaczek i kaczorów, a na powierzchni rozmarzłej już tu i ówdzie wody, pływały w rozmaitych miejscach owe trzy pary perkozów. Ptactwo to musiało przybyć w nocy lub o świcie, bo wieczorem dnia poprzedniego, jak to wspominałem, jeszcze ich nie było. To samo da się powiedzieć i o łyskach *(Fulica atra)*. (C. d. n.)

W sprawie ustawy łowieckiej.

Wydział galic. Towarzystwa łowieckiego, rozebrawszy znany już czytelnikom naszym rządowy projekt ustawy łowieckiej, przedstawił c. k. Namiestnictwu potrzebę wprowadzenia w nim zmian i uzupełnień następujących:

W §. 2-gim należałoby z szeregu zwierząt łownych wykreślić kunę leśną, kunę kamionkę i lisa, natomiast zaś dodać przy końcu tegoż paragrafu „i kwiczoły“.

Uzasadnienie. Przedmiot prawa łowieckiego tworzy zwierzyna łowna, którą pierwotnie oznaczano według tradycyi i zwyczajów, a dopiero w późniejszych regulaminach polowania rozróżniano na podstawie praw zwyczajowych zwierzynę grubą, średnią i drobną. Nowsze ustawy łowieckie oznaczają zwierzynę łowną bądź to pośrednio lub bezpośrednio przez ustanawianie dla niej czasu ochrony, a zwierzynę, dla której ustanowiono czas ochrony, uważano też za zwierzynę łowną. Dla kuny leśnej i kamionki nie ustanawiano nigdy żadnego czasu ochrony, uważano je bowiem jako zwierzęta szkodliwe (drapieżne). Z tego powodu powinny one ze spisu zwierząt łownych być wykreślone, a zaliczone do tych zwierząt, które na podstawie §. 49 strzelane lub w inny sposób łowione być mogą przez uprawnionego do polowania w obrębie jego obszaru — przez właściciela gruntu na własnym jego gruncie, a za tegoż przyzwoleniem i przez osoby trzecie, wkońcu na gruntach publicznych przez kogokolwiekbądź. Dla lisa wyznacza wprawdzie ustawa krajowa z r. 1875 czas ochrony, wypadek ten jednak jest jedynym w całej Przed- i Zalitawii, a że lis, pomimo tępienia myszy, jest bezwarunkowo zwierzem drapieżnym, więc też nie powinien być zaliczany do zwierząt łownych. Połów kwiczołów należałoby w każdym razie zaliczać do łowu zwierzyny drobnej, a skutkiem tego uważać kwiczoły jako przedmiot polowania i zaliczać je podobnie jak gołębie do ptactwa łownego pożytecznego. W dekrecie nadwornym z dnia 14. Sierpnia 1845 l. 22.855 nie wyłączonem jest chwytanie ptactwa z przysługującego właścicielowi polowania ogólnego prawa łowieckiego. I teraz nie ma powodu uważać łowienie ptaków jako proceder wolny, stojący poza ograniczeniami ustawy łowieckiej.

Ustęp 1-szy i 2-gi §. 15-go powinienby opiewać: „Bez ujmy dla zawartych w §. 13 i 14 wyjątków, wydzierżawiane być winny ustanowione polowania gminne przez dotyczące władze polityczne przy współudziale delegata Wydziału po-

wiatowego, w drodze publicznej licytacyi ustnej, najwięcej ofiarującemu“.

„Wyjątkowo, na wniosek przełożeństwa gminy lub obszaru dworskiego, zatwierdzane być mogą ze strony władzy politycznej kontrakty (bez wdrożenia publicznej licytacyi), zawarte o dzierżawę polowań gminnych z wolnej ręki — lecz tylko z właścicielem prawa polowania na sąsiednim własnym obszarze, (z wyjątkiem dzierżawcy polowania gminnego), i to, jeżeli kontrakty te odpowiadają postanowieniom niniejszej ustawy“.

Uzasadnienie do ustępu 1-go: Udział delegata Wydziału powiatowego w każdej dotyczącej czynności władzy politycznej powiatowej uzasadnia się okolicznością, iż każda podobna czynność dotyka interesu dotyczącej gminy, a uzyskany z wydzierżawienia polowania dochód stanowi część majątku gminnego.

Do ustępu 2-go. Zmiana ta okazuje się ze względu na podniesienie polowania wogóle konieczną, gdyż w razie przeciwnym każdy dzierżawca polowania zaniechałby przy końcu okresu dzierżawnego pielęgnowania stanu zwierzyny, a względnie starałby się o możebne zmniejszenie tego, by przy ponownej licytacyi nie doznać nieproporcyonalnego podwyższenia czynszu. Ograniczenie wyjątku tego na właścicieli sąsiedniego własnego polowania wskazanem jest z tego powodu, że tylko tym — jako współdotkniętym nadmiernem odstrzeliwaniem zwierzyny na sąsiednich gminnych obszarach polowania — zależyć może stale na utrzymywaniu i podnoszeniu stanu zwierzyny.

§. 17., zgodnie ze zmianami do § 15. proponowanymi, opiewać powinien następująco: „Przewidzianego w §. 15. wyjątkowego wydzierżawienia z wolnej ręki polowań gminnych właścicielom sąsiednich własnych obszarów polowania — nie powinna polityczna władza powiatowa zatwierdzać, skoroby na pewnych podstawach przypuszczać należało, że w razie pozostawienia polowania gminnego w rękach tegoż dzierżawcy, wykonanie polowania nie odpowiadałoby celom łowiectwa“.

W §. 19-tym należałoby wykreślić słowa: „w jednej z najbardziej w powiecie rozpowszechnionych gazet“.

Uzasadnienie. Koszta insercyjne nie stoją w żadnym stosunku do ewentualnej korzyści osiągnąć się mogącego, w rzeczywistości jednak bardzo wątpliwego większego udziału oferentów przy licytacyi, gdyż praktykowany u nas czynsz dzierżawny za polowania gminne wynosi zazwyczaj tylko kilka złotych w. a.

Do §. 22-go pożądanym byłby następujący ustęp dodatkowy: „Wyjątkowo udzielić może krajowa władza polityczna upoważnienie do wydzieżawiania polowań gminnych w drodze licytacyi Towarzystwom łowieckim, bez względu na ilość ich członków, takim mianowicie, które na podstawie zatwierdzonych przez władze statutów zawiązały się w celu podnoszenia stanu zwierzyny, i dają zupełną rękojmię, iż celu tego konsekwentnie i odpowiednio pilnować i wszelkim z kontraktu dzierżawnego wypływającym zobowiązaniom w zupełności zadość czynić będą“.

Uzasadnienie. Wobec szczupłych po największej części obszarów polowań gminnych w kraju, byłoby bardzo pożądanem skupiać po kilka takich obszarów w jednej ręce. Zawiązujące się w celu tym Towarzystwa, przypuszczając racyonalne z ich strony wykonanie prawa polowania i ochrony, byłyby w pierwszym rzędzie zdolne do oddania krajowi usługi przez podniesienie stanu zwierzyny pożytecznej.

W §. 23-cim, zgodnie z wnioskiem do §. 19. uczynionym, wykreślićby należało słowa: „prócz ewentualnych kosztów licytacyi“.

§. 31-szy powinienby opiewać: „Gdyby przy licytacyi nie osiągnięto ceny wywoławczej, ogłosi powiatowa władza polityczna drugą licytacyę z 25% zniżeniem ceny wywoławczej. W razie nie osiągnięcia ceny wywoławczej i przy drugiej licytacyi — porozumie się powiatowa władza polityczna, co do sposobu wykonywania dotyczącego polowania, z Wydziałem powiatowym i ze zwierzchnością gminną, a w razie, gdyby do obrębu polowania należały grunta obszaru dworskiego, również i z przełożeństwem obszaru dworskiego, i postąpi według uchwał na podstawie tych porozumień powziętych“.

W §. 36-tym należałoby w ostatnim wierszu zastąpić słowo „tamtejszych“ słowem „galicyjskich“.

W §. 37. drugi ustęp powinienby opiewać: „Karty polowania, mające się wydawać na żądanie dotyczącego właściciela polowania zatwierdzonym i zaprzysiążonym dozorcom polowania w charakterze ustanowionych strzelców, wystawiać należy na okres czasu ich stosunku służbowego u tegoż właściciela polowania, i dla oznaczonego przez tegoż obszaru polowania, który jest jego własnością lub też przez niego jest dzierżawiony“.

Uzasadnienie. Wydawanie stażnikom polowania certyfikatów li tylko na wyraźne żądanie uprawnionych do polowania, pożądanem jest z tego powodu, że w kraju zakazanem jest często dozorcom polowania, wykonywanie takowego. Proponowane wydawanie kart polowania, ważnych dla pewnych, przez służbodawcę oznaczyć się mających obszarów, jest zaś koniecznem dlatego, aby strażnik, bez względu na jego okręg dozorczy, mógł brać udział w polowaniach, kiedy i gdzie uprawnionemu do polowania służbodawcy będzie tego potrzeba.

§. 39. powinienby opiewać: „Za kartę polowania, ważną na rok jeden, opłacać mają uprawnieni do samoistnego wykonywania polowania właściciele posiadłości ziemskich i dzierżawcy polowania taksę w kwocie 3 złr., zaś za kartę, ważną na lat trzy, taksę w kwocie 9 złr. Krajowej władzy politycznej przysłuża jednak prawo, na wniosek powiatowej władzy politycznej w porozumieniu z Wydziałem powiatowym, zniżyć taksy te dla pewnych, mianowicie w górach położonych powiatów, lub pojedynczych obszarów polowania, odpowiednio do istniejących stosunków łowieckich. Ci, którzy w łowach biorą udział tylko jako goście, oraz uczniowie, którzy polowanie tylko w czasie wakacyi wykonywać mogą, opłacać mają za kartę polowania na jeden rok ważną, taksę w kwocie 50 ct. Taksy te wpływają do funduszu krajowego“.

„Od opłacania taksy za karty polowania uwolniony jest cały na obszarze polowania w służbie pozostający personal leśny i łowiecki, dalej uczniowie szkół lasowych, i aspiranci przez czas nauki, a względnie przez czas praktyki służbowej. Jako gość polowania uważanym być ma każdy, który wykazać się może kartą polowania, i wykonuje polowanie w towarzystwie lub za upoważnieniem właściciela polowania, pełnomocnika jego lub personalu leśnego i łowieckiego na obsarze tegoż właściciela“.

„Powoływanie się na otrzymane upoważnienie do polowania od właściciela polowania lub tegoż pełnomocnika nie jest wystarczającem, jeżeli żaden z tychże nie jest obecnym; każdy gość tedy, polujący nie w towarzystwie właściciela polowania, tegoż pełnomocnika lub personalu leśnego lub łowieckiego, wykazać się winien wobec straży, ustano-

wionej w myśl §. 81-szego niniejszej ustawy dla dozoru polowania, pisemnem pozwoleniem właściciela polowania".

„Karty polowania, wystawione według ustępu drugiego §. 37., nie podlegają opłaceniu taksy".

„Wszystkie karty polowania podlegają przepisanemu ustawą obowiązkowi stemplowemu".

Uzasadnienie. Opłacenie taksy w kwocie 5 złr. za jednorazową kartę polowania nie odpowiadałoby istniejącym obecnie stosunkom łowieckim w największej części obszarów polowania, a kwota ta nie stałaby nawet w żadnym stosunku z taksami, opłacanymi w Czechach, tak bardzo w zwierzynę obfitujących. Wyjątkowe zniżenie taksy przez krajową władzę polityczną wskazane jest z powodu tego, że pojedyncze obszary polowania w kraju różnią się często między sobą bardzo znacznie co do obfitości i stanu zwierzyny. Wypadek ten ma miejsce przeważnie w okolicach górskich, gdzie polowanie jest bardzo uciążliwem i nie intratnem i ogranicza się po największej części na wytępianiu dzików i zwierząt drapieżnych.

Od gości i uczniów, którzy przyjemności polowania używać mogą w ciągu roku najczęściej przez parę dni tylko, już słuszność sama nie pozwala pobierać taksę, opłacać się mającą za rok cały. Zresztą uczniowie są po największej części synami właściciela polowania, a jeśli tenże kilku ma synów, i opłacać by miał od każdego całą taksę, nie stałaby częstokroć ogólna uiścić się mająca należytość w odpowiednim stosunku do wątpliwego dochodu z polowania.

Uwolnienie w służbie będącego personalu lasowego i łowieckiego od opłacania taksy uzasadnia się tem, że służbę łowiecką stanowią w kraju nie tylko dozorcy polowania, ale personalowi leśnemu bez wyjątku prawie poruczonem jest strzeżenie i ochranianie praw polowania i podnoszenie stanu zwierzyny. Gdyby jednak bezwzględne uwolnienie personalu lasowego i łowieckiego od opłacania taks nie było wskazanem, to przyznane ono być powinno przynajmniej, ustanowionym w charakterze strzelców dozorcom polowania, a mianowicie: dla oznaczonego przez służbodawcę obszaru polowania i na czas trwania stosunku służbowego.

Wymaganie, by goście, polując bez właściciela polowania lub tegoż zastępcy, zaopatrzeni byli pisemnymi certyfikatami przyzwolenia ze strony tychże ostatnich, wyklucza możebność wkraczania w cudzy obszar polowania, i zapobiegnie wszelkim wątpliwościom straży.

W §. 41. należałoby dodać jeszcze następujący ustęp: „Powiatowa władza polityczna uprawnioną jest nadto odmówić wydania karty polowania takiemu kompetentowi, który ani własnego, ani zadzierżawionego obszaru polowania nie posiada, i w ogóle wykazać się nie może na czyim obszarze polować zamierza".

Paragraf 47. powinienby zawierać następujący jeszcze ustęp:

„Rogi (wieńce) i rożki, znalezione po nieżywych jeleniach i kozłach, tudzież zrzucone rogi i rożki jako też pojedyncze tyki, należą do właściciela polowania tego obszaru, na ktorym takowe znaleziono. Kto nadybie zwierzynę, która się sama przebiła, lub w inny sposób uszkodziła i ginie, nie śmie sobie takowej przywłaszczać, gdyż stanowi ona własność uprawnionego do polowania".

Uzsadnienie. Gdy wszelka na pewnym obszarze polowania znajdująca się zwierzyna jest własnością uprawnionego do polowania, przeto też znalezione rogi i rożki, nie mniej uszkodzona zwierzyna, stanowią również jego własność. (Dok. nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Wiedeń d. 10. lipca 1890.

(Z wystawy łowieckiej).

Każda wystawa, choćby wedle najpedantyczniejszego planu urządzona, zawsze będzie miała coś trochę z jarmarku. Szukając dubeltówek, natrafiasz na pierniki — chcesz się dostać między szkoły rolnicze, a wpadasz do kartonowej piwnicy z Grinzingerem czy Vöslauerem — pragniesz podziwiać leśny przemysł, a gubisz się między słoikami z mąką. Szczególniej łatwo zdarzyć ci się to może w rotundzie praterowej, jeśli tylko nie strzeżesz pedantycznie swych kroków – i w końcu zaczyna ci w głowie wirować i szumieć coś na kształt koła młyńskiego, tak, że uczuwasz potrzebę umykać jak najprędzej.

Gdy ci się to zdarzy, łaskawy czytelniku, wtedy zrób tak jak ja, t. j. umknij do pawilonu historyi łowiectwa. Znajdziesz tu ciszę i powagę, a jak najmniej owych naiwnych, co gapią się bezmyślnie na wszystko — bo tu nic oka na pierwszy rzut nie nęci — ale zato dla prawdziwego lubownika myśliwstwa tyle jest bogactw, że możesz i kilka dni siedzieć, a zawsze coś pięknego wyszukasz. Cały pawilon to jedno poważne i z wzorową ścisłością urządzone muzeum, z tą wszakże różnicą, że złożyły się na nie zbiory prywatne cesarza, domu cesarskiego i najznakomitszych rodzin, oraz muzea publiczne, a więc zbiór ten stał się jedynym w swoim rodzaju.

Wstępem do tej wystawy są znalezione w ile dyluwialnym okazy paleolityczne, które służyły łowcom, będącym rówieśnikami mamuta, oraz broń wygrzebana z jaskiń lub znaleziona między t. z. „odpadkami kuchennymi" (kiökken-möddingern). Są tu więc groty do strzał i oszczepów z krzemienia, z kryształu górskiego (z jaskini Żytnej na Morawie) i z rogów rena (z jaskini Mokrej koło Berna); noże krzemienne (znalezione koło Przyrowa na Morawie), siekierki krzemienne (z Szlezwiku, Belgii, Francyi), wreszcie czaszki i kości najdawniejszych zwierząt, z którymi człowiek stawał do walki, t. j. niedźwiedzia jaskiniowego *(Ursus spelaeus)*, lwa jaskiniowego *(Felis spelaea)*, hyeny jaskiniowej *(Hyena spelaea)* i szczęki wilka, wszystkie pochodzące z Morawy, kości mamuta z Galicyi i Węgier, czaszki z rynocerosa *(Tychorrhinus)* z bizonia *(Bison priscus)* i jelenia olbrzymiego *(Cervus megaceros)* z Węgier i z Banatu.

Drugą seryę przedmiotów tego rodzaju stanowią okazy neolityczne, pochodzące z budów palowych w Mondsee. Są to te same formy, lecz znać już staranniejsze obrobienie i użycie dokładniejszych narzędzi. Kamienne siekierki są już polerowane, kość jest przerabiana w dokładniejsze groty

i sztylety, przedziurawiane zęby zwierząt drapieżnych służą jako wisiorki do ozdoby. Z pozostałości zwierzęcych owej epoki znajdujemy tu olbrzymi kieł dzika, czaszki psów rasy dość małej, t. z. psa torfowego *(Canis palustris)*, którego człowiek podówczas, jak się zdaje, już do łowów używał, czaszkę borsuka, szczęki bobra i jelenia *(Cervus elaphus)*.

Podobne okazy wystawiono także z pomiędzy przedmiotów, odszukanych w resztkach budów palowych z torfowisk Lublańskich. Zwracają tu uwagę duże, szlifowane i starannie na toporzysko przedziurawiane siekiery z kamienia, groty, harpuny, sztylety z kości, młoty z kamienia i rogu jeleniego i bardzo ciekawa łapka na bobry z drzewa, w formie dyb pływających. Z kości zwierzęcych powtarza się tu pies torfowy, borsuk, jeleń i wilk — nadto występuje niedźwiedź brunatny *(Ursus arctos)*, odmiany wołu pierwotnego *(Bos taurus* variet. *primigenius* i var. *palustris)* ren *(Tarandus rangifer)*, łoś, koza, owca, sarna, bóbr, świnia torfowa *(Sus scrofa* variet. *palustris)*, dzik i bizoń.

Z szwajcarskich budów palowych wystawiono bardzo ciekawe siekiery kamienne (nefrytowe) w oprawie z rogu jeleniego i z toporzyskami rogowymi. Między okazami zaś, pochodzącymi z Tolnajskiego komitatu w Węgrzech, znajdujemy także kamienny słoik na truciznę do zatruwania strzał.

Po tych zabytkach najpierwotniejszego myśliwstwa następują okazy, świadczące o coraz wyższym rozwoju sztuki łowieckiej, narzędzia z miedzi, bronzu, a wreszcie z żelaza, a narzędziom tym towarzyszą wielce ciekawe rysunki lub odlewy z najstarszych assyryjskich, egipskich, greckich i rzymskich reliewów.

I tak: ze starej klingi sztyletowej z Mykene spotykamy zdjęty obraz polowania na lwa; myśliwi, ukryci za tarczami na wysokość całego człowieka, godzą włóczniami w rozjuszone zwierzę. Na assyryjskim reliewie odbywają się te łowy z konia; lew rzuca się na rumaka, z którego spadł myśliwy, na drugiego lwa godzi jeździec dzirytem. Wspaniałym jest reliew asyryjski, przedstawiający ubitą lwicę, w której tkwi kilka dzirytów i krew z ran cieknie. Polowanie na pantery odbywa się podobnież z dzidami, pieszo, za tarczami, ale obok widać także paść, do której wchodzi pantera na przynętę. W kalydońskich łowach na dzika dojeżdżają wybornie rysowani myśliwi z obu stron odyńca, godząc weń dzidą i bijąc maczugą. W innym greckim reliewie przedstawione jest polowanie na niedźwiedzia, którego pies atakuje, a za psem sadzi na koniu zbrojny oszczepem myśliwy. Rzymska mozaika daje nam obraz polowania na jelenia; motyw, wzięty widocznie z Afryki, myśliwy zarzuca lasso na wspaniałego rogacza. W fantastycznej scenie myśliwskiej, zdjętej z fresk pompejańskich, osadza pies odyńca, a myśliwy godzi weń oszczepem; w tenże sam sposób uderza na niedźwiedzia. W attyckich reliewach widzimy dzika, którego psy osadziły. Inna scena, zdjęta z wazy greckiej, ukazuje nam odyńca, na którego wpadł pies i trzyma go, a dwóch myśliwych godzi w zwierzę, jeden włócznią drugi maczugą. W innej scenie widać jelenia, na którego ryś skoczył, a do obu godzą myśliwi strzałami z łuków. Widzimy tu nawet rysunek wybornych żelaz półokrągłych, w które się lis złapał, a na starowłoskich scenach łowieckich pomyka już szarak i dwóch z nagonki niesie ubitego dzika na drągu. Reliewy egipskie ukazują nam łowy na hipopotama, i wyprawę z sieciami myśliwskimi.

Narzędzia miedziane przypominają jeszcze niezgrabną epokę kamienną, ale zaczynają się już w kształcie swym zbliżać do dzisiejszych siekier i kilofów. Z bronzu wystawione siekiery, sztylety, noże myśliwskie, groty do strzał i lanc, harpuny i miecze zaczynają być już zdobne.

Broń żelazna z t. z. peryodu Halstadzkiego i z peryodu La-Tène, z czasów rzymskich i wędrówek narodów, wykazuje coraz większe stopniowanie w kształcie i dokładności wyrobu. Broń sieczna występuje w różnych formach puginałów i mieczów, noże myśliwskie przypominają dzisiejsze wygięte noże kuchenne, niektóre z nich mają już rączki rogowe; zamiast grotów krótkich, są już dłuższe rożny do nabijania na drążek i t. p.

Od tych pierwszych czasów historycznych przechodzimy do wieków średnich i nowszych stuleci, które są już bogato reprezentowane coraz pyszniejszą bronią i coraz wspanialszymi przyborami myśliwskimi. Postęp mechaniczny podaje tu rękę sztuce pierwszych mistrzów i wytwarza arcydzieła i cacka, którym się dość napatrzyć nie można.

Są tu przedmioty sięgające 11-go wieku a kończące się na początkach naszego stulecia. Najstarszymi są rogi myśliwskie, jeden z 11. wieku, należący do Alberta Alzackiego, Landgrafa z Habsburga, z słoniowej kości rzeźbionej figurami zwierząt — drugi mniejszy, z zabarwionego rogu, z 12. wieku. Do najstarszej broni myśliwskiej należą tu t. z. tasaki czyli tesaki myśliwskie *(Parmesser)* o klingach bardzo szerokich z 14. i 15. wieku, oraz miecze, oszczepy, kusze i łuki z tego czasu.

Najpiękniejszemi tesakami są tesaki pochodzące ze zbiorów cesarskich, w pochwie ze skóry prasowanej i ozdobnych rękojeściach, również tesaki hr. Wilczka z rączkami bronzowymi, wykładanymi perłową macicą, i tesaki o rękojeściach emaliowanych, będące niegdyś własnością Filipa Dobrego z Burgundyi.

Pomiędzy mieczami widzimy lekkie miecze jednostronne i obosieczne z płomykowatem zakończeniem i silną poprzeczką na klindze; z mieczem takim myśliwy wyczekiwał napadu zwierzęcia *(Anlaufschwert)*. Kusze mają obłąk z rogu lub ze stali, cięciwę z kręconego rzemienia, łoża zazwyczaj bardzo ozdobne, często kością słoniową wykładane. Kusza wyrobu włoskiego, pochodząca od Maksymiliana I., ma łoże malowane, z napisem. Wystawiono również wiele kusz lekkich do polowań na podchodne, raczej łuków *(Pürschstahl)*, odznaczających się wytwornością kształtów, oraz kołczany na bełty (bolce) i strzały. Jest i torba myśliwska z prasowanej skóry z 15. wieku, będąca własnością arc. Franciszka Ferdynanda Este. Własnością tegoż samego arcyksięcia jest także prześliczna prochownica z 16. wieku, dzieło włoskiego mistrza, rzeźbiona z kości słoniowej, płaska, okrągła, a ozdobiona wyborną płaskorzeźbą zwierząt: lisa, zająca, puhacza, bekasa i innych. Jako „polskie“ zanotowane są dwa dziryty we wspólnej pochwie skórzanej z 16. wieku.

Charakterystycznymi i pięknymi są również przybory sokolnicze z 15 do 18 w., choć jest ich stosunkowo za mało.

Następuje broń palna, i tu jest wybór i przepych niesłychany, a trzeba dodać, że jest to przeważnie broń niemiecka, francuska i włoska, rzadziej hiszpańska lub wschodnia. Wszelkiego rodzaju rusznice skałkowe biorą oczywiście górę nad wszystkiem i dopiero z początkiem bieżącego wieku pojawia się broń perkusyjna. Szczególniej piękną jest lżejsza broń myśliwska na podchodne *(Pürschgewehr)* z łożyskami, wykładanymi to kością słoniową, to perłową macicą, to obu tymi materyałami razem, z których kość słoniowa jest częstokroć na zielono zabarwiana. Do najpiękniejszych należą

tu: sztuciec do konia, roboty norymberskiej, z marką smoka z r. 1540. na którym przedstawiono polowanie na dzika para pistoletów skałkowych z r. 1585; rusznica myśliwska Maurycego Saskiego z r. 1545 z lufą kantowo fasonowaną i bajcowaną na czarno, a łożem wykładanem bogato kością słoniową; augsburska rusznica ze znakiem konwi, której łoże przedstawia w kości słoniowej walkę gladyatorów; inna rusznica gotajska, o łożu pociągniętem twardą masą żywiczną, w którą wciśniono drobne ornamenta z kości słoniowej o wytwornym rysunku i t. d.

W późniejszej nieco broni występują grawirunki na żelazie lub nabijanie złotem i srebrem, a łoże, bajcowane częstokroć na czarno, bywa także srebrem inkrustowane. Obok flint lekkich, widzimy tu rusznice ciężkie na stanowiska, do budek, lub do opierania na widełkach przy strzale. W jednej z takich najdawniejszych rusznic przeprowadzony już jest pomysł odtylcówki; część lufy otwiera się na zawiasach i służy do wkładania naboju. Części żelazne tej broni nabijane są złotem, a ornament z kości słoniowej na łożu, przedstawia uprowadzenie pięknej Heleny. Inna broń tego rodzaju, norymberskiej roboty zdobna jest scenami polowań starożytnych. Inna wreszcie, ogromna, z roku 1620, włoskiego wyrobu, wprowadza w życie system rewolwerowy, w którem lufa jest ruchomą, co przy konstrukcyi skałkowej niesłychanie ciężko wygląda.

Do najlżejszych należą: strzelba włoska jakiegoś mistrza z Brescii, około r. 1580 z kolbą o inkrustacyi żelaznej, i t. z. „teszynki“ (Tschinke) czyli ptaszniczki kurlandzkie, wszystkie do siebie podobne i bardzo gustownie zdobione. Do ciekawszych zaliczyć także należy strzelbę na kaczki, z kurkiem hiszpańskim, o długiej bardzo lufie. Wyrób to włoski z początku 17-go wieku.

Oryginalnością swojego rodzaju jest potężny oszczep na dziki, z dwoma na obu stronach ostrza przymocowanymi, skałkowymi przyrządami do strzału. Niemniej oryginalną jest lekka flinta systemu rewolwerowego, własność hr. Schwarzenberga, z pierwszych lat 17-go wieku. Jedna z rusznic do konia odznacza się kominkiem, zakrywającym płomień przy zapalaniu prochu na panewce.

Prochownice mnożą się tu, a celują tak rozmaitością form, jak materyału i mniej lub więcej bogatą ornamentyką.

Z końcem 17-go wieku i w początkach 18-go widzimy często łoża i kolby rzeźbione, zamki zaś i inne części grawirowane. Sztućce w futerałach (do jedzenia). tasaki myśliwskie, kordelasy, zdobne rogi myśliwskie przegradzają od miejsca do miejsca tę wspaniałą kolekcyę broni, w której mosiężne lub na niebiesko zapuszczane, a kanciasto fasonowane lufy coraz częściej występują. Łoża i kolby przechodzą do form lżejszych i z rzeźbionych zaczynają być gładkie, politurowane. Pierwsza taka flinta jest wyrobu Franciszka Lopeza w Madrycie z r. 1765, oraz garłacz Giovanni Battista Daffino w Brescii z połowy 18-go wieku. Jakąś wyjątkową bronią, widocznie tylko dla próby wykonaną, jest flinta z lufą spiralnie skręconą.

Na wzór broni wschodniej pojawiają się następnie damasceńskie lufy dźwirowane, a jeden z pierwszych okazów pochodzi z warsztatu Markusa Zelnera w Wiedniu. Dwie ciężkie strzelby na stanowiska z lufami ciągnionymi, z przykładem i kolbą od góry polstrowanymi, wyrobu wrocławskiego i flinty do śrótu, z okrągło fasonowanymi, częstokroć dźwirowanymi lufami o łożach całkiem gładkich lub mało tylko złoconymi okładami zdobionych, przeprowadzają zwolna formę strzelb skałkowych ku lekkiej i mniej wyszukanej broni perkussyjnej.

Do oryginalności pomiędzy tymi okazami z końca 18-go wieku należy dubeltówka zwrotniczka, wykonana przez Francuza, Filipa de Selier, mająca dwie lufy, jednę pod drugą, do obracania. Jest i inna podobna z czterma lufami. Pierwszą dubeltówkę skałkową, zbliżoną kształtem zupełnie do dzisiejszych, widzimy między bronią już z 19-go wieku. Wykonał ją Missilieur w Wiedniu.

To co dalej następuje, to już niemal nasze czasy lub rzeczy pamiątkowe ze zbiorów cesarskich I tak, jest tu prześliczna lekka flinta kobieca, własność Maryi Terezyi, wykładana drogimi kamieniami i kameami, oraz dwie flinty do śrótu, będące także jej własnością, a wykonane przez królewskiego rusznikarza de Sainte z Wersalu. Dalej widzimy flintę cesarza Franciszka I.; zieloną kurtkę myśliwską pochodzącą z wypadku Józefa II. na polowaniu, gdy go ranny jeleń przewrócił i kurtkę z lewego boku rozdarł; pamiątki myśliwskie po arcyksięciu Janie; broń francuską skałkową którą Napoleon I. darował cesarzowi Franciszkowi I., ks. Nassauskiemu i feldmarszałkowi Szwarcenbergowi; małe strzelby z lat dziecięcych arcyks. Rudolfa i t. d.

Starałem się Wam dać wyobrażenie o bogactwach tego pawilonu, lecz pozostanie ono bardzo niedokładnem, bo trzebaby znacznie więcej napisać, ażeby rzecz należycie rozwinąć. O niektórych więc szczegółach, tak z zakresu historyi łowiectwa jak i z innych pawilonów, wypadnie mi jeszcze pomówić w następnej o ostatniej mej korespondencyi z wystawy. *St.*

Z Podola d. 15. lipca 1890

(Posłanie przyjacielskie.)

Od dłuższego już czasu leży na łożu boleści sympatyczny wasz i gorliwy współpracownik, A l e k s a n d e r U b y s z. Ukochawszy gorąco ojczystą przyrodę i żywot łowiecki, odtworzył on je w licznych a barwnych opowiadaniach, rzeźbił postacie jakichś pastuszków ogorzałych, siedzących kupką na wygonie, jakichś upartych myśliwych, w tradycyjnej „mandynie“ z nad Sołokii, co kulejąc, przeskakują z kępy na kępę, opierając się na sznurkami powiązanej strzelbinie — to przenosi nas pod „Otryt“ i na „Połoniny“ i zaznajamia znowu z łowcami, co strącają ziarnka prochu od uroków, a krzyżem świętym się znaczą, celując. Nie rzadko spotyka się w jego opowiadaniach i szlachcica z sumiastym wąsem, komenderującego w kniei, jakby na bagnety, i Reb Dawida tylko w Polsce możliwego, i leśniczego i księdza, zapalonego łowcę, i „Marcinka“ i pobereżnika i chłopa kłusownika — jednem słowem całe nasze społeczeństwo, które żyje życiem prawdziwem, pełnem niewyszukanej malowniczości. Nadzwyczaj wiele tam prawdy, bo twórca tych postaci sam wiele ciężkiego w życiu swem przebył, sam dużo doświadczył.

Młodość była mu częstokroć padołem łez i goryczy. Dusza rwała się do czynu, ale ptak i z najszerszem skrzydłem nie wzleci, mając nogi spłątane. „W młodości mojej, Pan mię poddał próbie“ spiewał spłakany. W młodości też swojej próbował w pieśni żal swój i myśli wylewać.

Zmuszony nieprzyjaźnymi okolicznościami, odbył włoską kampanię w 1859 r. Za kord chwycił, kiedy miła Ojczyzna synów swoich na pomoc wzywała, i stanął w szeregu jej obrońców, ocierając z pleśni tarczę herbową. I żyjemy jeszcze, którzy widzieliśmy, jak odważnie szedł w ogień, przodując szczupłej drużynie.

Urodzony w domu dostatnim, wyszedł z działu familijnego, a nawet teraz, tak długo powalony na łoże boleści,

pozostaje bez pomocy i może trapi się o chleb powszedni... A przecież ma on zasługi, o których nie mogą tak prędko zapomnieć ci, co się opowiadaniami jego lubowali i lubują. Jego gawęda wierszem „W borze i klasztorze“ zyskała sobie chlubne świadectwo Adama Pługa, który porównywał ją z gawędą Pola „Starosta Kiślacki“ i oddawał jej wielkie zalety.

Tych słów kilka niech mi będzie wolno umieścić w „Łowcu“, któremu Aleksander Ubysz już kilkanaście lat służy i nawet chorobą złamany, jeszcze pióra nie wypuszcza z ręki. Przyjmijcie łaskawie te wyrazy od przyjaciela jego młodości i druha w miłości dla Ojczyzny — od kolegi z kampanii włoskiej, pod skwarnem słońcem południa. i towarzysza w wyprawach z tymi, co to „poszli w bój bez broni!“ *)

Józef Kamocki.

Drohobycz w lipcu.

(Nowe Towarzystwo myśliwskie).

Na podstawie statutów przez c. k. namiestnictwo zatwierdzonych, założyliśmy tutaj „Towarzystwo myśliwskie Drohobyckie“, które ma na celu podniesienie zwierzostanu, urządzanie wspólnych polowań, ścisłe przestrzeganie ustawy łowieckiej i poskramianie kłusownictwa. Towarzystwo nasze zadzierżawiło prawo polowania w gminach: Drohobycz Lisznia, Manaster liszniański, Bronica, Niedźwiedza, Modrycz, Solec, Dereżyce i Manaster dereżycki.

Towarzystwo liczy obecnie 20 członków, a wydział stanowią: Karol Kawecki, przewodniczący, Zygmunt Kunstman Marcin Wierzbicki, Artur Strzetelski, Kazimierz Gąsiorowski i Stanisław Bednarski.

Kawecki.

*) Szanowny nasz współpracownik, już od dłuższego czasu ciężką złożony chorobą, przebywa obecnie we Lwowie. Najserdeczniejsze życzenia ulgi i powrotu do zdrowia zasyła mu Redakcya „Łowca“.

Popieluchy, w lipcu 1890.

(Całoroczny wynik łowiecki.)

Posyłam Wam rachunek roczny myśliwstwa w Popieluchach u Wgo Jana Brzozowskiego, zamknięty w dniu 1. maja 1890.

Zabito na polowaniach i zniszczono drapieżników w 1889 roku: słomek 22, przepiórek 5, kozłów 26, zajęcy 15, orłów 16, jastrzębi 163, wilków 3, lisów 34, kun 2, psów 100, kotów 12. Wilki udusiły sarn 22. Razem 420 sztuk. Odebrano kłusownikom strzelb 2.

Rachunek wydatków na myśliwstwo: Straży za drapieżniki 73 rs. 60 kop., koszt trucizny 16 rs., koszt polowań na drapieżniki 20 rs. 80 kop., strzałowe straży 41 rs. 25 kop. Razem 151 rs. 65 kop.

Nadmieniam, że nie polowano wcale z nagonką, gdyż było mało zajęcy; kozły prawie wszystkie zabite na podjazd.

Leśniczy.

Stanisławów d. 24 lipca 1890.

(Mnogość głuszców.)

Wyczytawszy w numerze lipcowym „Łowca“ artykulik o nadzwyczajnej mnogości głuszców w Mürzzuschlag, gdzie ks. Leopold Bawarski jednego ranka ubił 6 kogutów — a chcąc dać poznać czytelnikom „Łowca“ że i nasze Karpaty nie o wiele pod tym względem w tyle pozostają — donoszę, iż w dniach 20. i 21. kwietnia b. r. ubiliśmy w 2 strzelby t. j. Wny p. starosta Władysław Chądzyński i niżej podpisany w miejscowości zwanej „Seredne“, w rewirze do państwa Nadwórniańskiego należącym, 7 głuszców.

Leopold Łysakowski.

KRONIKA.

Wilki grasują w ostatnich czasach w większej liczbie i z niezwykłą zuchwałością. Z Samborskiego donoszą, że rozmnożyły się bardzo w okolicach Czukwi i Błażowy, i wyrządzają znaczne szkody włościanom w bydle na pastwiskach.

W gubernii mińskiej, jak to czytamy w pismach warszawskich, rozmnożyły się także ogromnie, a w pobliżu Rudni napastują już nietylko bydło i owce, lecz i na ludzi rzucają się coraz śmielej i zuchwalej.

Kilka ofiar ludzkich stało się ich pastwą. Najpierw porwaną przez nich została 3-letnia dziewczynka, która wraz z kilku swemi towarzyszkami bawiła się w pobliżu pasącego się bydła. Na krzyk pastucha inne dzieci umknąć zdołały, ta zaś najmłodsza potknęła się i upadła. W parę minut już ani śladu z dziecka nie było. Drugą ofiarą, również w pobliżu Rudni, była kilkunastoletnia dziewczyna, którą prawie z podwórza wilki porwały. Zdołano ją wprawdzie wyrwać z pod zębów wilczych, ale strasznie pokaleczona zmarła nazajutrz.

Nieco dalej dwie jeszcze dziewczynki po kilka lat mające, przez wilki pochwycone i poszarpane zostały. Kilku też mężczyzn dorosłych i dwie kobiety ucierpiały mniej lub więcej od zuchwałych napastników. Panika stąd ogromna między włościanami. Nikt pojedyńczo i bez uzbrojenia się w drąg lub kosę nie wychodzi z domu. Urządzone przez miejscowe gminy obławy, nie przyniosły pożądanych rezultatów. Zabito tylko kilkoro wilcząt.

Zawołany jeździec i myśliwy. Pisma warszawskie poświęcają wiele serdecznych słów bawiącemu tam obecnie przeszło 80-letniemu sportsmanowi i myśliwemu, p. Edwardowi Raciborskiemu, który mimo wieku podeszłego zawsze jeszcze krzepko sport jeździecki i myśliwego uprawia.

P. Raciborski, urodzony w r. 1805 w Galicyi, był całe swe życie i jest świetnym typem tego pokolenia zuchów, które zapisało się w naszem życiu towarzyskiem pod nazwą „tężyzny“, a przewyższył niejednego prawdziwie polską fantazyą i zuchwałem junactwem. Nie ma rzeczy możliwej, którejby nie dokonał, ani też niemożliwej, o którąby się nie pokusił. i możnaby do niego zastósować znane słowa francuskiego ministra: „*Si c'est possible c'est fait, si c'est impossible ça sera fait*“, tak dalece nie znała przeszkody butna jego fantazya i śmiałość. Pod względem karkołomnej jazdy rywalizował on ze sławnym węgierskim hr. Gyulą Szandorem; zwano go też we Wiedniu, gdzie często z końmi przebywał: „*der polnische Szandor*“.

Zamiłowany w koniach, odziedziczywszy po ojcu i wziąwszy nadto po żonie w posagu liczne stada, uprawiał on chów koni z wielkiem powodzeniem. Co roku wyprowadzał do Wiednia nową partyę wybornie ujeżdżonych koni, które dworom europejskim i zagranicznym sportsmanom sprzedawał po wysokiej cenie.

Sportsman nasz, mając lat 84, bierze jeszcze ciągle udział w łowach, przedsiębierze utrudzające w tym celu podróże, dosiada konia, jedzie cztery mile wierzchem na polowanie lub objad u sąsiada i powraca również wierzchem tego samego dnia. Rzecz to tem dziwniejsza, że ciało jego jedną jest blizną. Wielokrotnie łamane ręce, nogi, żebra, obojczyki są, w dosłownem znaczeniu, złożone z kawałków, które się jakimś cudem trzymają kupy i nie wypowiadają służby zapalonemu sportsmanowi. Na głowie nosi latem i zimą biały kapelusz starego fasonu. Czyni to — jak powiada — „z wdzięczności“, gdyż biały kapelusz uratował mu życie w pewnej przygodzie.

Raciborski zachował pomimo wieku humor wielce przyjemny, oraz bystrość i trzeźwość umysłu iście młodzieńczą; cokolwiek widział w długiem swojem życiu, widział dobrze, pamięta dokładnie i umie żywo i obrazowo opowiedzieć. Spisał też i oddał do druku swe pamiętniki, które powinny być bardzo ciekawe.

Niedźwiedź gościem kąpielowym. W węgierskiem miejscu kąpielowem Lipto-Zselezno prowadzi cichy żywot około 40 gości. Nie mały ogarnął ich przestrach pewnego pięknego poranku, gdy w jednej z alei pojawił się ogromny niedźwiedź. W paszczy niósł on owcę, porwaną ze stada, znajdującego się w pobliżu. Niedźwiedź, nie zważając na gości, którzy przed nim zaczęli uciekać, usadowił się obok studni i z największą flegmą spożył swoją ofiarę, mimo krzyków przestraszonych pasterzy i szczekania psów. Po uczcie z miną poważną opuścił swe stanowisko obiadowe i znikł w gęstwinie.

---

160 wielorybów ukazało się tej wiosny pod wzgórzem Hillswik na wyspach Szetlandzkich. Większa ich część podpłynęła ku wybrzeżom i została tam przez rybaków ubita.

Olbrzymiego ludojada złowili w ostatnich czasach rybacy morza Północnego pod Geestemünde. Ludojad był widocznie chory, gdyż sam wypłynął na powierzchnię morza i po wyciągnięciu na brzeg zaraz zginął. Długość jego wynosiła 3·9 metr., grubość w środku 2·5 metrów.

Nowa odmiana psów. W Anglii, gdzie hodowcy w różnych gałęziach chowu zwierząt domowych, przez racyonalne i wytrwałe krzyżowanie, do największych doszli wyników, pracują obecnie nad wyhodowaniem kolosalnej odmiany psów, które i wzrostem i siłą nadawałyby się jako zwierzęta pociągowe do wozów. Próbę rozpoczęto psami z góry św. Bernarda, które przed 15 laty do Anglii były przewiezione, a dzisiejsze pokolenie następców jest już niemal o połowę od nich większe.

L' Eleveur donosi, że w Ameryce, prawdopodobnie na tle psów nowofundlandzkich, wyhodowano psa jeszcze pokaźniejszego, gdyż waży 226 funtów. Sprzedano go do Anglii, a jeśli on zasili forsowaną tam rasę psów olbrzymich, to doprawdy ideał psów pociągowych bliskim jest ziszczenia.

Pojedynek małp. Gazeta *Italie* donosi o następującym oryginalnym bardzo wypadku. Dwóch artystów koczującego cyrku podczas przejazdu przez francuskie miasteczko B. pokłóciło się i postanowiło sprawę pomiędzy sobą zakończyć pojedynkiem na rewolwery. Warunki spotkania były następujące: strzelać, ile razy się komu podoba, w odległości dwudziestu pięciu kroków. Bój stoczył się na arenie cyrkowej; przeciwnicy dali po dwa strzały, chybili i następnie się pogodzili. Przypadkowymi świadkami strzelania były dwie małpy, umiejące się obchodzić, jak to zwykle małpy cyrkowe, z pistoletami. Otóż, jak tylko przeciwnicy zeszli z areny, małpy stanęły naprzeciw siebie i wystrzeliły.. Na odgłos strzału zleciała się służba cyrkowa, ale już było za późno.. Jedna małpa leżała z przestrzelonym łbem, drugiej pierś była kulą przeszyta. Widać, że u małp nie idzie to na żarty...

Z opowiadań starego leśniczego. Praktykę leśniczowską odbywałem u tak zwanego w swoim czasie kameralnego leśniczego. Twardyż to był dla mnie termin ta praktyka, osobliwie w pierwszym roku, bo leśniczy był wymagający i niezmiernie ostry w rzeczach służbowych. Toż ja i cały personał leśny, pomimo że nikogo tak bardzo nie skrzywdził, baliśmy się go jak ognia.

Pewnej jesieni, że to była niedziela i nie szło się w las, dłubię coś koło regestrów. Leśniczy chodzi po kancelaryi. Wtem rzecze:

— Wyjdźno na ganek i zapytaj, czego chce Macykur? Zagląda mi w okno jak żóraw, a ja tego nie lubię.

Macykur, to najstarszy gajowy. A że to była postać w swoim rodzaju dość oryginalna, więc zlekka ją odszkicuję. Olbrzymi wzrostem, o dużej jak ceber głowie, którą zawsze jakby na przekór mała pokrywała czapka, o głosie tubalnym, i karmazynowej barwy twarzy, co zdradzało w nim czciciela Bachusa. Pił dość wiele, lecz nigdy nie widziałem go pijanym. Jedynie zbytnia gadatliwość wskazywała w nim większą lub mniejszą ilość przymięszanego do krwi alkoholu.

— A co chce Macykur? — pytam.

— Proszę pana praktykanta, dziś niedziela i jesień, toż mieszczanie idą do naszej leszczyny kraść obręcze do beczek na kapustę. Może byśmy tam poszli, sam jeden nie dam radę.

Wracam do kancelaryi i raportuję to leśniczemu.

— Ma racyę — rzecze leśniczy — pójdź z nim. — Zarzucam tedy dubeltówkę na plecy i idę wraz z leśnym.

— Nie wszystko to prawda — odezwał się po drodze Macykur — com chciał żeby się „stary“ (leśniczy) dowiedział. Ot, wie pan, tak było: Wczoraj przechodzę podle chaty tego szewca, co robi pańskie buty. Pochwalony rzecze majster...

— Ależ do rzeczy — mówię, wiedząc z doświadczenia, że Macykur, zanim przystąpi do treści, niby wyżeł rasy kurlandzkiej, dalekim kołem otacza wzięte na „wiatr“ zwierzę.

— Dobrze. Otóż mówi szewc: Możeby kieliszeczek. Ja mu na to... Znowu przerwałem.

— No, niech będzie. Wchodzę, aż tu w izbie żona jego „lebiedzi“ (narzeka), że lis jej sześć kur zabrał. — Może byście zabili tego szkodnika — wtrącił szewc. — A może — odpowiadam — najlepiej wykopać go w jamie. Toż dziś radbym to uczynić. Stary możeby nie dał, więc panu to mówię. Szewc nas czeka u skraja leszczyny, bo tam pod trzema brzozami jest „haupt“-jama.

Do leszczyny, gdzie się znachodziły lisie nory, dość było daleko, toż Macykur całą drogę bawił mnię dyskursem.

— Jakem służył przy „granatyrach“ (grenadierach) — jak przyszła jesień, to feleber noc w noc nas trzech na polowanie wyprawiał...

— Jakto na polowanie po nocy?...

— A na borsuki! Skoro zabijem jakiego, toż dopiero był lusztyk. Feleberka upiekła pieczeń, a na sadle nasmażyła pączków, co ha! Miałem też łaskę u felebra, prawie nigdy na wartę nie chodziłem. Ja właściwie piszę się Maruszczakanowycz, ale że to felebrowi, co był Niemcem, nie łatwo było wymawiać i pisać sprawiedliwe moje nazwisko, toż pisał krótko Macykur, i tak w „abszycie“ stoi.

Ale oto i leszczyna. U samego kraju czekał nas szewc z swym synem i czterech chłopów, do rozkopywania nory najętych. Prawdziwie gniazdowe nory lisie znajdowały się na małem, nieco skalistem wzgórzu. Wierzchem nor rosły trzy olbrzymie brzozy; korzenie ich głęboko w ziemię zapuszczone, przy skalistym gruncie, niemal uniemożliwiały dobywanie się do wnętrza nory zapomocą kopania.

— Co robić? — pytam Macykura.

— Wykurzyć lisy dymem.

Nazbierano więc sporo mchu, trawy zeschłej i suchych gałęzi — i rozkładamy ognisko u samego wejścia do nory. Mokry mech sporo wprawdzie wydawał dymu, lecz ten nie wciskał się, jak było potrzeba, tylko na powierzchnię wypływał.

Prawdopodobnie nora ta, wbrew zwyczajowi jam lisich, nie posiadała drugiego gdzieś wychodu, innaczej byłby dym, mając przewiew, pchał się ku drugiemu wylotowi. Po ściślejszym jednak przeglądzie okazało się, że o kilkanaście kroków od głównej nory była druga, w gąszczach ukryta, lecz znacznie mniejsza.

— Zatkać tę jamę — radzi Macykur — bo lis tędy ucieczе.

— Nie — mówię — gdy ją się ziemią zatka, daremny nasz trud w wykurzaniu. Jama i tak nie bardzo przewiewna, w danym razie całkowicie dymu nie przyjmie. Materyał, którym kurzymy, nie dobry, bo niesposób go głębiej w jamę wsunąć. Gdyby tak szmaty, kłaki konopne, z łatwością by to przyszło.

— Moja chata ztąd nie daleko — powiedział Macykur — ja tu wnet łachów przyniosę.

Zanim ruszył ścieżynką ku chacie, odwidził wpierw leżącą w pobliżu kobiałkę, z której wnętrza wyglądały szyjki zielonych flaszek. Machnąwszy dwa kieliszki, ruszył ku domowi.

— To na kuraż przed żoną — mówi mistrz pańskiego obuwia — oj, bo też zła! Niewielka kobiecina, a zawsze zwalczy tego „wełyta“ (olbrzyma), co go się wszyscy boją.

Sporo upłynęło czasu — wraca nareszcie Macykur kłąb łachów jakichś dźwigając.

— A to co! — wołam. Macykur wyglądał jak maska, od gęstych choć nie głębokich ran, którymi była jego twarz pokryta.

— A co — mruknął rozdrażniony. — Mówię babie: dawaj kłaki z komory — ona nie. Nie dasz, wnet sobie poradzę; dalej zabierać jej starą odzież. Ona mnie do twarzy — odepchnąłem ją — i...

— I w nogi — dodałem.

— A tak. Zaraz zrobię kurzysko.

Zdjąwszy z siebie odzienie, począł się pchać o ile możności najdalej do nory, kijem popychając zapalone szmaty, a względnie dość dobrą jeszcze kacabajkę watowaną.

Macykur w całej swej długości gwałtem wepchnął się w norę, i tylko nogi mu wyglądały.

Buchnął wreszcie gęsty, gryzący dym — ale i Macykur począł nadrabiać nogami.

— Czy się tylko nie dusi? — wołam.

Dwu chłopów, porwawszy Macykura za pedały, na zewnątrz go wyciągnęli. Na pierwszy pozór martwym się być zdawał. Posiniał na twarzy, włosy głowy, wąsy i brwi miał osmalone. Zlany wodą wnet przyszedł do przytomności.

— Cur tobi, ta pek! — zawołał. — To żona moja tak sprawiła, bo ona czarownica.

Umył się, napił się wódki i wnet odzyskał swój jowialny humor.

Przewidywania moje ziściły się. Dym w bardzo małej ilości dobywał się miejscem, gdzie kurzysko założono. Większa część dobywała się owym drugim otworem.

Naraz słyszymy głośne skomlenie w stronie owej drugiej nory. Podchodzimy, a niewielki kudłaty kundelek szewca, który wraz z nim na łowy był przybył, jęczy w niebogłosy z łbem wetkniętym w chrust, którym przytkaliśmy nieco norę.

Szewc pospieszył z interwencyą swemu ulubieńcowi i wsadziwszy rękę w norę starał się zbadać przyczynę jęków swego kundla.

— Jest lis — woła radośnie — zaraz go złapię!

Wnet jednak zmieniła się sytuacya. Uwolniony kundelek przestał skomleć, a w miejsce jego szewczyna począł wrzeszczeć.

Pokazało się bowiem, że lis, przyparty dymem, począł drugim wychodem na wierzch wyłazić. Zastał jednak wychód zamknięty i wystawiwszy „niuszek“, o ile się dało najgłębiej na wolne powietrze, począł oddychać swobodnie. Kundelek, jak się o nim szewc wyrażał, „cikawy“, spostrzegłszy lisa, zaatakował go — lecz ziściło się na nim przysłowie: „złapał Kozak Tatarzyna“ — lis bowiem pierwej psa za mordkę a potem szewca za rękę uchwycił. Dopiero Macykur pochwyciwszy lisa swą potężną łapą za kark, udusił go i na zewnątrz wyciągnął.

— Bihme, wszystkiego narobiła żona moja, bo ona czarownica — mówił Macykur, zawiązując szewcu dość mocno skaleczoną rękę.

Jest jeden stary lis, ale gdzie całe gniazdo? Bo że więcej być musi i ja byłem przekonany.

— Niechaj dymi kurzysko — wołam — i raźno do roboty!

Wykopaliśmy tedy trzy poprzeczne skrzynie, już i dym począł nimi się wydostawać — ale lisów jak nie ma, tak nie ma.

— Będą tuż przy samem kurzysku — wyrzekłem. Wiedziałem bowiem z doświadczenia, że podkurzane lisy, lub nawet kuny, otumanione dymem, na oślep pchają się ku najlepiej znanemu wychodowi z nory, lub jak kuna, wydrążenia drzewnego.

I w istocie przy samem prawie kurzysku znaleźliśmy jedną starą lisicę i troje sporych już tegorocznych lisiąt, już nieżywych. Wyznam otwarcie, że widok poduszonych, jakkolwiek drapieżców, wstręt we mnie budził i wydał mi się niegodnym prawdziwego myśliwego.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.